MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 29. WARSZAWA, 20 LIPCA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZA PÓŁNOCNĄ GRANICĄ

PLEBISCYT przeszedł po życiu polskiem w Prusiech Wschodnich jak łamiąca wszystko zawierucha [1]). Mnóstwo osób — skompromitowanych wobec Niemców udziałem w akcji plebiscytowej na rzecz Polski, albo poprostu zżytych już z myślą, że będą należeć do Polski i nie chcących powracać pod panowanie niemieckie — opuściło teren plebiscytowy i przeniosło się do Polski na stałe. Liczba tych uchodźców sięga w tysiące. W całej Polsce spotykamy dziś ludzi, których kolebki stały w zapomnianych dzielnicach Warmji, Mazur i ziemi Malborskiej. W Poznaniu osiadł wybitny kompozytor, autor melodji „Roty" rodowity warmjak, p. Feliks Nowowiejski. Śród polskiego duchowieństwa działa szereg wybitnych jednostek, pochodzących z Warmji. Zwłaszcza w najbliższej terytorjalnie i duchowo Prusom Wschodnim polskiej dzielnicy w województwie pomorskiem spotkać można wielu rodaków, przybyłych z Warmji, Mazur i ziemi Malborskiej na wszystkich stanowiskach społecznych, poczynając od dziennikarzy, urzędników, ziemian, kończąc na licznych przedstawicielach rzemiosła, robotników, drobnych funkcjonarjuszy wszelkiego rodzaju i nawet włościaństwa.

Na samym terenie plebiscytowym pierwsze lata po katastrofie plebiscytu zaznaczyły się odrętwieniem całego życia polskiego. Szeregi przywódców społeczeństwa polskiego, przerzedzone przez emigrację do Polski, zgnębione, zrozpaczone, — sterroryzowane przytem przez Niemców, których bojówki w czasie samej akcji plebiscytowej nie cofały się przed rozlewem krwi polskiej, a i później hulały naogół bezkarnie—szeregi przywódców opuściły ręce bezradnie, zaś szara masa ludowa, przytłoczona zwycięską na tym terenie potęgą niemczyzny, zrezygnowała z górniejszych aspiracyj i pogrążyła się całkowicie w przyziemnej krzątaninie około ciasnych spraw prywatnych, nastręczających zresztą—w trudnym, powojennym okresie—trosk niemało.

Nadeszły później jeszcze nowe klęski. Inflacja niemiecka zniweczyła kapitały, nagromadzone przez polską spółdzielczość, — stanowiące — w niektórych przynajmniej powiatach — wcale poważny czynnik niezależności ludności polskiej. Chroniczny kryzys gospodarczy, w jakim tkwią po wojnie Prusy Wschodnie, szczególnie dotkliwie odbija się na stanie gospodarczym ludności polskiej — bo nie korzysta ona w praktyce z kredytów rządowych, udzielanych ludności wschodnio-pruskiej, — z sum, uruchomionych w ramach „*Sofortprogramm*" czy „*Ostpreussenhilfe*", — a zły stan gospodarczy ludności wpływa, rzecz prosta, paraliżująco również i na jej poczynania zbiorowe we wszelkich dziedzinach takich, jak dziedzina pracy narodowej.

Ale żywa i jędrna zbiorowość etniczna nie może tkwić w bezruchu trwale. Społeczeństwo żywotne — a żywotna jest niezaprzeczalnie zwłaszcza katolicka część ludności polskiej w Prusiech Wschodnich—budzi się do nowego rozwoju nawet po załamaniach najcięższych. Obudziło się też po wojnie nowe życie polskie w ziemi Malborskiej, na Warmji i na Mazurach.

Godząc się z wytworzoną przez plebiscyt sytuacją polityczną i stojąc na stanowisku lojalności wobec państwa, którego są obywatelami, — nie zamierzając jednak rezygnować ze swej odwiecznej tradycji narodowej, ani z łączności duchowej z polskością, — zaczęli Polacy wschodnio-pruscy już wkrótce po plebiscycie nawiązywać porwane nici swych organizacyj społecznych, budzić uśpione instytucje i mozolnie odbudowywać całokształt swego życia zbiorowego. Wraz z podrośnięciem nowej generacji młodzieży zjawiły się w szeregach polskich nowe zasoby optymizmu i zapału, — wle-

[1]) Patrz artykuł p. t. „Zapomniana dzielnica" w poprzednim numerze „Myśli Narodowej". Korzystamy ze sposobności przypomnienia tu tego artykułu, by sprostować dwa ważniejsze błędy zecerskie, które się doń wkradły, zmieniając gruntownie treść odnośnych zdań: na str. 430 pierwsza kolumna, wiersz 8 od dołu „osób, nie rozmawiających po niemiecku" — winno być: „nie rozumiejących", oraz na str. 431, druga kolumna, wiersz 7 od dołu—„wzrost liczby Niemców"— winno być „wzrost liczby Mazurów".

wając świeżą energję w żyły pokolenia starszego. Istna nowa ruń zazieleniła się na niwie polskiej w Prusiech Wschodnich.

Jakże się przedstawia dziś to życie polskie za północnym kordonem? Omówimy wszystkie jego dziedziny po kolei.

W dziedzinie życia politycznego, ludność polska w Prusiech Wschodnich — tak jak cała zresztą ludność polska w Niemczech — zorganizowana jest na zasadzie jedności narodowej polskiej i wyodrębnienia od stronnictw politycznych niemieckich. Do wszelkich wyborów parlamentarnych czy samorządowych stają zwykle w Prusiech Wsch. dwie zblokowane i ściśle z sobą współdziałające polskie listy wyborcze, — katolicka na Warmji i Powiślu i mazursko-ewangelicka na Mazowszu. Przy wyborach de ciał parlamentarnych nie starcza głosów polskich w samych tylko Prusiech Wschodnich, by uzyskać mandat—kumulując jednak, zgodnie z obowiązującą w Niemczech ordynacją wyborczą, głosy wschodnio-pruskie z głosami z pozostałych okręgów, ludność polska uzyskiwała dotychczas w latach powojennych po dwa mandaty w sejmie pruskim (w parlamencie Rzeszy żadnego). Dopiero w ostatnich wyborach z r. 1928, dzięki nieuzyskaniu „kluczowego" mandatu na Śląsku Opolskim, mandatów tych nie otrzymała, co jednak jest niewątpliwie jedynie zjawiskiem przejściowem. Pierwsza powojenna reprezentacja polska w sejmie pruskim składała się z pp. Jana Baczewskiego z Olsztyna na Warmji i hrabiego Stan. Sierakowskiego z Waplewa pod Malborkiem. Później Polaków z Prus Wsch. reprezentował jedynie p. Baczewski, podczas gdy drugi mandat polski piastował przedstawiciel Śląska.

Życie gospodarcze ludności polskiej w Prusiech Wschodnich, jak już wspomniano wyżej, nie doszło jeszcze do zupełnej normy. Najważniejszym problematem gospodarczym Polaków w Prusiech Wsch. jest zagadnienie utrzymania w swojem ręku ziemi. Czynniki niemieckie zdają sobie dobrze sprawę z tego, że dopóki ludność polska składa się z niezależnych gospodarzy, tkwiących mocno korzeniami w roli — nic jej z kraju nie zdoła usunąć. To też nie szczędzą wysiłków, by tę ludność z ziemi wyzuć,—zmienić ją na proletarjat, uzależniony całkowicie od konjunktur na rynku pracy i dlatego podatny do szukania chleba na wychodźtwie.

Każdy polski rolnik w Prusiech Wschodnich zmuszony jest do szczególnej czujności, by nie dać się zawikłać w trudności pieniężne, bo będą one niewątpliwie wyzyskane przez Niemców do urządzenia nań szerokiej naganki, zmierzającej do doprowadzenia go do ruiny. Mimo to—zarówno wielka (ziemiańska) jak średnia i drobna (gburska i włościańska) własność polska w Prusiech Wschodnich trzyma się naogół dość dzielnie i nie zdradza zbyt wyraźnej dążności do kurczenia się. Coprawda, rok bieżący przyniósł pod tym względem jedną dużą klęskę: dwa duże majątki polskie w pow. Sztumskim, od czasów przedrozbiorowych będące w ręku polskiem, a od lat stutrzydziestu w ręku tej samej polskiej rodziny, Buchwałd i Telkwice, o łącznym obszarze kilku tysięcy morgów magdeburskich, poszły z licytacji w ręce niemieckie. Nietylko właściciele, lecz i polscy robotnicy rolni znikną z tych dwuch polskich osiedli — bo rozpoczęto już ze strony nowonabywców prace pomiarowe, związane z parcelacją zdobytej ziemi pomiędzy niemieckich kolonistów.

Ale jest to wypadek naogół odosobniony. Gdyby nie sztuczne popieranie rolników-Niemców i sztuczne zwalczanie Polaków — kto wie, czy nie mielibyśmy nawet do czynienia, zwłaszcza śród własności drobniejszej, z pewną ekspansją żywiołu polskiego, bo Polak lubi pracę na roli i odczuwa głód ziemi—a Niemiec, zwłaszcza z generacji najmłodszej, nie lubi życia na wsi i żywiołowo ciągnie do miast — niejednokrotnie na daleki zachód Niemiec, to też chętnie się ziemi wyzbywa. Dzisiaj o podobnem zjawisku niema oczywiście mowy, niema jednak również mowy o szerszem powodzeniu niemieckich wysiłków, zmierzających do wyzucia Polaków z ziemi.

Objawem odrodzenia się życia gospodarczego ludności polskiej w Prusiech Wsch. jest też ponowny, nieefektowny jeszcze, lecz zdrowy rozwój polskiej spółdzielczości. Drobne, chłopskie oszczędności w polskich Bankach Ludowych wzrastają powoli, lecz stale — a i inne typy spółdzielni rozwijają się naogół pomyślnie.

W dziedzinie życia kulturalnego ludności polskiej w Prusiech Wsch. ważny etap stanowi zapoczątkowanie polskiego szkolnictwa prywatnego. Zbyt już niezręczna sytuacja Niemców, uskarżających się na rzekomy ucisk mniejszości narodowej niemieckiej w innych państwach, a nie dających własnym mniejszościom najskromniejszych nawet uprawnień, sprawiła, że Niemcy czuły się zmuszone wydać (w dniu 31 grudnia 1928 r.) ustawę, zezwalającą na zakładanie w Prusiech szkół prywatnych z językiem wykładowym polskim (co poprzednio było niedozwolone prawem i co jest po dziś dzień niedozwolone np. w Hamburgu, czy w Saksonji, gdzie są spore skupienia polskich wychodźców). Stworzenie szkolnictwa prywatnego nie jest rzeczą łatwą, — wymaga znacznego wysiłku organizacyjnego i znacznych środków pieniężnych, to też może się dokonywać jedynie stopniowo. Jednak, mimo że od wydania ustawy szkolnej minęło zaledwie półtora roku, pewnemi rezultatami polska akcja szkolna może się już poszczycić: w powiecie Olsztyńskim na Warmji założono już szkoły we wsiach Chabrowo, Gietrzwałd, Leszno, Nowa Kaletka, Pluski, Sząfałd i Woryty, a w powiecie Sztumskim, w ziemi Malborskiej, we wsiach Nowa Wieś, Podstolin, Pruska Dąbrówka, Stary Targ, Trzciana i Waplewo. W innych powiatach, w szczególności na Mazowszu pruskiem, jeszcze dotąd szkół nie założono[2]). Obok szkół ważny czynnik kulturalny stanowią dość liczne polskie ochronki, — a pozatem liczne organizacje polskie, śród których szczególną żywotnością odznaczają się związki młodzieży, prowadzące pracę kulturalną, polegającą na samokształceniu, na polskim śpiewie, deklamacji, przedstawieniach amatorskich etc. — a pozatem uprawiające sport i t. d. Związki te ożywione są wysokim idealizmem, wynikającym z zasad patrjotyzmu i religijności. Śród organizacyj polskich dużą powagą cieszy się Związek Polaków w Niemczech — wielka, obejmująca najszersze masy organizacja, działająca na całym terenie Niemiec, lecz wyodrębniona na terenie

[2]) Znacznie szybciej rozwinęła się akcja szkolna na pograniczu zachodniem: w okręgu regencyjnym Pilskim (t. zw. *Grenzmark Posen-Westpreussen*) założono dotąd 24 szkoły polskie (z czego w pomorskim powiecie Złotowskim 19, a w wielkopolskich powiatach Międzyrzeckim 1 i Babimojskim 4). Ponadto 4 szkoły założono na sąsiedniem terytorjum kaszubskiem: w pow. Bytowskim, w okr. regenc. Koszalińskim (Pomeranja).

Prus Wsch. w osobną „dzielnicę“, posiadająca swój zarząd w Olsztynie. Z pośród innych, dość licznych, organizacyj i stowarzyszeń warto jeszcze wymienić Towarzystwo Szkolne — analogiczne, co do celów, do działającej w Kongresówce Macierzy Szkolnej, czy do małopolskiego T. S. L.

Ważnym czynnikiem kulturalnym — a zarazem czynnikiem łączności duchowej z Polską i polskością — jest polska prasa w Prusiech Wschodnich. Dzieli się ona na dwa odłamy: katolicki i mazursko-ewangelicki. Katolicy posiadają w Olsztynie na Warmji własny, stary dziennik „Gazeta Olsztyńska“, a pozatem miesięcznik „Życie Młodzieży“, będący organem wyżej wymienionych związków młodzieży. Mazurzy, używający dotąd alfabetu gotyckiego, posiadają pismo, wychodzące w Szczytnie „Mazur“, oraz organ ruchu religijnego t. zw. „gromadkarzy“, stojących w pewnej opozycji do oficjalnego kościoła ewangelicko-unijnego „Głos Ewangelijny“. Pozatem wychodzi jeszcze wydawany przez Niemców po polsku (alfabetem gotyckim) „Mazurski Przyjaciel Ludu“, który był przedtem organem polskim, lecz przed dwoma laty dzięki pewnym machinacjom został opanowany przez Niemców (tracąc zresztą na rzecz „Mazura“ prawie wszystkich swoich abonentów).

Przy tej sposobności warto rozprawić się z szeroko przez Niemców kolportowaną legendą o rzekomej odrębności językowej Mazurów. Każdy szczep w każdym narodzie zdradza pewne odrębności gwarowe — zdradzają je oczywiście i Mazurzy (zarówno Pruscy, jak i Płocko-Warszawscy). Ale rzeczą decydującą jest język, używany w piśmie i druku — i on decyduje o przynależności językowej danego szczepu. Otóż wydawnictwa mazurskie — nietylko wyżej wymienione czasopisma o zabarwieniu polskiem, albo drukowane „szwabachą“ kalendarze, broszury i książki o tendencji polskiej, lecz i germanofilski „Mazurski Przyjaciel Ludu“, a także niewychodzący już, przedwojenny „Pruski Przyjaciel Ludu“, oraz mające już dość starą tradycję królewieckie kalendarze ewangelickie posługują się poprawną literacką polszczyzną, zrzadka tylko zaprawioną prowincjonalizmami lub biblijnemi archaizmami, a jeśli idzie o wydawnictwa germanofilskie, również i — nielicznemi zresztą — germanizmami.

Cóż jeszcze powiedzieć o rodakach z za północnego kordonu? Wiele by się jeszcze wspomnieć dało — brak miejsca zmusza do zwięzłości. Wystarczy stwierdzić — reasumując to, co powidziano wyżej — że istnieje poza północnym kordonem cała, zamieszkana przez Polaków dzielnica — dzielnica piękna i pełna starych, polskich wspomnień, mimo, że uboga — i smętna smętkiem cichych jezior, ciemnych lasów i rozlewnych błot. Dzielnica ta może nawet wieki całe trwać w odcięciu od Polski, a mimo to żyć życiem polskiem — tak, jak żyje życiem francuskiem odcięta od wieków od Francji wschodnia Kanada.

Gdyby jednak porządek, ustalony dzięki pokojowi w Wersalu, wbrew nam obalono, gdyby mapa Europy musiała być układana na nowo, nic nie będzie stało na przeszkodzie, żeby się Polska o zabrane sobie ziemie: Malborską, Warmijską i Mazurską — upomniała.

J.

ZAGADNIENIE TŁUMU

ŚWIAT nowożytny wchodzi w niebezpieczny okres życia tłumnego. Gwałtowny rozwój techniki i przemysłu, handlu i wszelkich środków łączności spowodował zgęszczanie się ludności krajów i miast w tempie niebywałem. Wygaśnięcie wielkich wędrówek ludów koczowniczych, stanowcze ustalanie osiadłości narodów, opanowanie przez medycynę i hygjenę chorób epidemicznych, ograniczenie emigracji — te i tamte przyczyny postawiły niektóre narody Europy już bezpośrednio w obliczu zagadnienia żywiołowego rozrostu tłumów, które pomimo wojen niszczących, w miastach i ośrodkach przemysłowych wzbierają, jak powódź, zmywają brzegi i tamy obyczaju, moralności, kultury, a w razie, gdyby je na łasce tego rozpędu pozostawiono, w niedługim czasie zagrozić mogą ostateczną katastrofą rozsadzenia gmachów cywilizacji, co w pierwszym rzędzie w przepaść pociągnie narody, jak Polska naprzykład, młode i niedoświadczone.

Groza tej możliwości zwiększa się, gdy zważymy, że wiecznie na tłumność łasy i czyhający, przebiegły wróg ludzkości — żydzi, wczas dostrzegł zjawisko i rzucił się na tłumy, aby z nich motłoch zrobić i uczynić go ślepem narzędziem polityki żydowskiej, do opanowania świata i poniżenia „gojów” zdążającej. Z doświadczenia Rzymu starożytnego wiemy, że podobne oszustwo może udać się, a tem samem kulturę dzisiejszą w odmęt chaosu pogrążyć. Oszukiwanie ciemnych, najszerszych warstw ludności przy pomocy haseł i nauk demagogicznych i rzucanie ich przeciw warstwom oświeconym stanowi od wieków wypróbowaną podstawę taktyki „narodu osobliwego“. Ale nigdy jeszcze żydzi nie natrafili na warunki, tak ich polityce sprzyjające, jak w czasach nowożytnych. Do roboty swej zaprzęgli, jak wiadomo, masonerję, socjalizm i komunizm, oraz inne pokrewne a pomniejsze organizacje, czasem przygodne, do okoliczności czasu i miejsca dostosowane.

Niebezpieczeństwo od tłumów na kulturę narodów idące, otrzymało, nadto, jeszcze jedno ostrze złośliwe w postaci sojuszu z żydowstwem finansjery międzynarodowej. Rekiny zwąchały się z rekinami i wspólnie uznały resztę świata za naturalną pastwę swojej żarłoczności. Rekiny banków i wielkiego przemysłu, równie, jak magnaterja, wyzute z poczucia przynależności narodowej, idą ręka w rękę z żydami, którzy dziś głównymi się stali panami złota i kapitałów. Ta atoli zachodzi między nimi różnica zasadnicza, że finansjera żydowska działa planowo i celowo w imieniu i dla korzyści narodu żydowskiego, podczas gdy finansiści innych narodów, zapatrzeni tylko w siebie, tworzą mafję międzynarodową, dla której brzuch Mamona jedyną jest godną poświęceń ojczyzną. Łatwo przewidzieć, kto kim w takim związku kieruje, a kto komu podlega. Są i tu wyjątki, jak wszędzie i zawsze, a wyjątek na wielką skalę, gromadny, stanowią Niemcy, których zaborczość gospodarcza ściśle pokrywa się z ich zaborczością polityczną i narodową.

Niemcy w swoim odwiecznym naporze na Słowiańszczyznę nie ograniczają się do wystąpień zbrojnych, ale korzystają z każdej sposobności, aby narody, na żertwę swoją upatrzone, w nich samych, od wewnątrz rozbrajać, rozkładać i osłabiać. Ta ich robota, ze względu na sąsiedztwo, szczególnie dla Polski jest niebezpieczna, a przytem na Polskę główny ich napór zawsze jest wymierzony. Otóż Niemcy na swoją rękę wykorzystują zagadnienie tłumu, które w Polsce po wojnie światowej z niezwykłą objawiło się siłą. Mają w tem dzielną pomoc żydów, na Polsce siedzących, którzy zawsze idą z silniejszym przeciw słabszemu. Ostatnie lata jawnie wykazały, że masonerja i socjalizm w Polsce pracują dla Niemiec, nietylko pośrednio przez rozpuszczanie i rozbestwianie tłumów, ale i bezpośrednio—przez liczne w polityce na korzyść wroga ustępstwa, przez zaprzedawanie mu kraju gospodarcze i przez osłabianie wojskowe naszej granicy zachodniej. Masonerja polska jest poprostu prowokatorską agenturą niemiecką, socjalizm i komunizm—jej armją zorganizowaną, a żydzi—sztabem, na miejscu, głównym. Dwa końce tej pętli trzymają: rząd niemiecki i międzynarodowy Sanhendryn żydowski.

Uwzględniając w zagadnieniu tu poruszonem tylko Polskę, trzeba jeszcze zwrócić uwagę na drugiego naszego sąsiada—na Rosję. Pod panowaniem komunizmu trwa ona obecnie w obłędzie wzniecania rewolucyj na świecie, a pierwszym krajem krwawego jej apostolstwa żydowskiego jest graniczna Polska. Jak Niemcy, tak i Rosja bolszewicka ma tu swoich naturalnych sprzymierzeńców w czteromiljonowej ludności żydowskiej, oraz w jej rządzie międzynarodowym. Idą z Rosji znaczne sumy na polski komunizm, idą zastępy agitatorów, a wszystko to żeruje na tłumach i motłochu. Masonerja polska udaje, że zwalcza komunizm, ale czyni to tylko zarządzeniami policyjnemi i więzieniami, dla zamydlenia oczu społeczeństwu polskiemu, przyczem i te zarządzenia wzmagają komunizm moralnie, krępując go tylko do czasu nazewnątrz, a hodując pod kluczem, pozatem jednak popiera go i sama szerzy w dziesiątkach odmian ubocznych, niemniej groźnych i zjadliwych.

Tym oto sposobem samo przez się trudne i ciężkie zagadnienie tłumu przybiera w Polsce postać zdradzieckiego niewodu, na naród polski pod dozorem i kierunkiem wielu naraz sił wrogich a potężnych czyhającego. Tem pilniejsza przeto staje się konieczność rozwiązania zagadki, którą ten nowy, potworny Sfinks na drodze Polski odrodzonej postawił.

Zorganizowana i mająca poczucie organizacji gromada ludzka nie jest tłumem. Jest społeczeństwem. Tłumem jest gromada ludzka, złączona ze sobą tylko liczebnością. Nie należy wyobrażać sobie tłumu wyłącznie pod postacią gromady w danej chwili i na danem miejscu skupionej, po ulicach się snującej, fizycznie widzialnej. Do tłumu należy człowiek samotnie w mieszkaniu swem przebywający, w biurze, lub w warsztacie pracy, o ile nic go ze społeczeństwem nie łączy. Im bardziej dokoła jednostki ludzkiej zrywają się nici łączności ze społeczeństwem, narodem, jego tradycją, kulturą, duchem, przyszłością, tem głębiej ona zapada w ciemną otchłań tłumu. Dlatego wrogowie narodu z równą pilnością szerzą komunizm i socjalizm, jak i skrajny, odpowiednio i ordynarnie pojęty indywidualizm. Teorje czy ideje tak napozór wzajem sobie sprzeczne zbiegają się w zgodnym wyniku ostatecznym—w powiększaniu tłumu. Zresztą, i socjalizm i komunizm odwołują się do najgrubszego egoizmu człowieka ciemnego, do zwierzęcych podstaw jego indywidualizmu, niecąc w nim stale nienawiść, zemstę, żądzę niszczenia i wszelkie rzeczywiste i urojone urazy osobiste. Tłum złośliwą ręką poruszony, wzburzony, do działań prowadzony, nazywam motłochem.

Takiego oto surowego materjału ludzkiego, czyli tłumu i motłochu z dużą szybkością przysparzają społeczeństwom warunki życia współczesnego. Szybkości tej dotychczas nie zdołała dorównać organizacyjna sprawność społeczna i państwowa, owszem—daleko pozostała w tyle. Wszelkiego rodzaju ramy współżycia kulturalnego, a w pierwszym rzędzie—szkolnictwo, stały się o wiele za szczupłe, a siły warstw oświeconych — o wiele za słabe na przyjęcie i ujęcie w karby cywilizacji coraz liczniejszych zastępów tłumu. Dlatego rozlewa się on i żyje poza ramami społeczeństwa, jakkolwiek fizycznie i pozornie w jego wnętrzu się porusza. Dlatego też oprócz wymienionych powyżej sił, świadomie i programowo tłum oplątujących, zaopiekował się nim inny, szczuplejszy tłum wszelkiego rodzaju oszustów, karjerowiczów i ptaków niebieskich. Ci, albo w roli najmitów masonerji i żydowstwa, albo jako wolontarjusze — tak czy owak w pogoni swej za groszem współdziałają z wrogami narodu i społeczeństwa. Tu leży główne źródło prasy rynsztokowej, literatury niemoralnej, wyuzdania kinoteatrów, teatrów, kabaretów i tym podobnych przedsiębiorstw. I tu, jak w każdem plugastwie, żydzi rej wiodą.

Gwałtowny rozrost tłumów sam przez się jest dla społeczeństwa niebezpieczny. W Polsce przybiera on rozmiary grozy z powodu obecności w kraju czterech miljonów żydów, oraz masonerji, socjalizmu i komunizmu. Może zaś w każdej chwili przeobrazić się w katastrofę ze względu na geograficzne położenie Polski i obecną jej politykę zagraniczną. W takim oto stanie rzeczy w odzyskanem tak niedawno i jeszcze nie dość umocowanem państwie polskiem, rozgrywa się wielki i śmiertelny wyścig pomiędzy mafją judomasońską a kierowniczemi sferami społeczeństwa polskiego. Metą wyścigu jest tłum. Kto pierwszy go tak opanuje, aby go sobie całkowicie uczynić posłusznym? Kto pierwszy porwie go za sobą i do swoich celów użyje? A nie jest bynajmniej pociechą dla społeczeństwa polskiego, że ono wielokrotnie liczbą przewyższa tłum. W działaniach gwałtownych, gdy, naprzykład, idzie o pochwycenie władzy, mała garść nad tłumem panująca z reguły wygrywa. Mała liczebność organizacji kierowniczej jest nawet głównym warunkiem wygranej. Społeczeństwo jest tylko tłem i boiskiem zapasów, jego wola poczyna sobie bardzo wolno, jego czyn zjawia się dopiero u końca długotrwałego biegu historji, a tu wszystko ma się rozegrać na torze bardzo krótkim. Tym sposobem stajemy przed Sfinksem, któremu natychmiast mamy dać odpowiedź.

Dał ją w Italji Mussolini. Przed wystąpieniem jego Italja pod rządami masonów i socjalistów była już na progu bolszewizmu. Faszyzm zdobył tłum i wygrał wyścig na ostatnim wielkiego biegu kilometrze. Pominąwszy całość faszyzmu, jako w przeważnej ilości cech tworu czysto italskiego, którego tu bynajmniej za wzór nie podaję, tkwi w jego

podstawie, powiedzmy raczej — w jego pierwszym rzucie pewien rys ogólnoludzki, rys taktyczny, w każdym kraju, przez tłum zagrożonym, nieunikniony, niejako—obowiązujący, mianowicie—Mussolini porwał za sobą tłum i jednym rozmachem wcielił go w społeczeństwo, w naród italski. Praca metodyczna, którąby w innych warunkach (w nieobecności wroga) mogła być wykonana w ciągu jednego lub dwóch pokoleń, praca włączenia tłumów rosnacych w organizację społeczną i kulturalną, musiała tu być (w obliczu wroga) wykonana jednym rzutem. Oto tajemnica wygranej, oto zasadnicza treść natychmiastowej, Sfinksowi danej, odpowiedzi.

Cokolwiek w najbliższym czasie stanie się w Polsce, pozostaną w niej jeszcze żydzi, masoni i socjaliści, czyli że w dalszym ciągu będzie trwał wyścig i walka o tłum. Może warunki zewnętrzne i wewnętrzne tak się ułożą, że sprawa będzie się przewlekała — a bierność i połowiczność Polaków lubi wszystko przewlekać! — lecz prędzej, czy później musi dojść do rozstrzygnięcia. Postarają się o to żydzi, masoni i socjaliści, którzy muszą się śpieszyć, bo czas spokojny pracuje przeciwko nim. Postara się o to samo życie, bo tłum nie przestanie szybko rosnąć, szybciej, niż zdoła rozpowszechniać się oświata i kultura. Nadejdzie przeto czas, że polskie warstwy oświecone staną oko w oko przed Sfinksem w kamienistym o stromych zboczach wąwozie. Odpowiedź, którą dadzą, może być tylko jedna: muszą porwać za sobą tłum i wcielić go w społeczeństwo i w naród. Brak odpowiedzi będzie śmiertelnym dla obojga wyrokiem.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

SPOŁECZNO-POLITYCZNE IDEJE SŁOWACKIEGO W DOBIE MISTYCYZMU

(Ciąg dalszy)

Że kosmogonicznej nauce genezyjskiej przypisywał Słowacki w zmartwychwstaniu Polski — i zarazem w sprowadzeniu na ziemię nowej ery — taką praktyczną ważność, wynikało to przedewszystkiem z własnego wewnętrznego doświadczenia. Ten nowo zdobyty pogląd na świat odrodził go wewnętrznie i był mu źródłem natchnień. Dawał mu on poczucie solidarności z przyrodą i wytłumaczenie wzruszeń od niej odbieranych, ukojenie rozdźwięku między tem, co jest, a co być powinno — wszystko bowiem jest tylko etapem przejściowym na drodze ku doskonałości, — pewność celu ostatecznego i niezłomną wiarę w sprawiedliwość Bożą, — pogardę dla ziemskich boleści i dla śmierci, która jest tylko marą bez znaczenia, „królową masek i powłok“. A nadewszystko była mu ta nauka nieprzebranem źródłem p i ę k n a. Niegdyś — w przypisach do „Mindowego“ — pisał, że sądził, iż samo otwarcie ludziom oczu na piękno zdolne jest podnieść ich i uszlachetnić. Russowy ideał „*belle âme*“, w gruncie rzeczy wartość etyczną oceniający stopniem podniesienia się nad codzienność przez „poetyckie na świat spojrzenie“, ideał przenikający duszę romantyczną, znajduje w tem swój wyraz. Teraz koncepcję genezyjską odczuwał Słowacki jako owo poetyckie na świat spojrzenie o wartości etycznej; ale o ileż wyższe było to stanowisko od onego naiwnego marzenia młodości! Tam chodziło w gruncie rzeczy tylko o piękno formalne, o kolorowanie świata po wierzchu, — tu o piękno duchowe całego światopoglądu, w którym wartości estetyczne kojarzą się nierozdzielnie z etycznemi. Ale w obu wypadkach element piękna jest rozstrzygającym. Pod sztandarem p i ę k n a staje nowa epoka — i misja mesjaniczna Polski. Bo tak epokę nową jak i Polskę trzeba najpierw w duszach wewnętrznie zrealizować, zanim się w ciało obloką. Punktem wyjścia jest — jak w towianizmie — udoskonalenie jednostki. A na jednostkę patrzy Słowacki oczyma poety. Bez poetyckiego wzlotu jest ona dla niego poziomą i przyziemną. Dla genezyjskiego postępu — dla wzlotu w górę — potrzeba skrzydeł. Jest to rys romantyczny; romantyzm widział w poecie najwyższy typ człowieka. Wedle tego typu tedy trzeba doskonalić dusze, które mają być nasieniem nowej epoki. Na takiej też religji duchowego piękna stanąć ma ta epoka. Polska do niej prowadzi, gdyż ta wiara spoczywa w duszach polskich podświadomie. Trzeba ją tylko uświadomić — i to jest rewelatorskie zadanie nauki genezyjskiej. Istota polskości leży w tej idei, — Polakiem jest ten, w kim ona żyje. Przez uświadomienie trzeba nią zjednoczyć dusze; trzeba naprzód stworzyć Polaków, aby stworzyć Polskę. Bo „narody to gromady ducha jednego“.

A więc Polska stanąć musi naprzód, — względnie uświadomić się w duszach jako idea, nim się w kształcie realnym ziści. Z czysto spirytualistycznym charakterem nauki genezyjskiej — z zasadą, że wszystko przez ducha i dla ducha stworzone jest a nic dla cielesnego celu nie istnieje — jest w zgodzie, że „Polską“ nie jest jej kształt zewnętrzny, ale jej treść duchowa, jej idea. Kształt zewnętrzny jest tylko tej idei dopełnieniem, ale Polska może istnieć i bez niego, a niemasz jej, gdzie niema idei, choćby nawet istniał kształt Polską nazwany. „Podobnie jak przed światem stworzone było Słowo czyli Duch, mający się formami objawić widzialnemi — notuje Słowacki na marginesie „Króla Ducha“ — podobnie poczęcie każdego narodu poprzedziło stworzenie idei, dla której następnie ludzie w formę pewną, tej idei właściwą skrystalizowani pracowali — a z tej to idei powstawała forma pewna organizacyjna; ta stanowiła narodowość“.

Dlatego na drodze ku odbudowaniu Polski pierwszym krokiem jest odpowiedź na pytanie: „j a k a P o l s k a“.

„Szli, krzycząc: „Polska! Polska“! — Wtem, jednego razu,
Chcąc krzyczeć, zapomieli na ustach wyrazu;
Pewni jednak, że Pan Bóg do synów się przyzna,
Szli dalej, krzycząc: „Boże! Ojczyzna! Ojczyzna“!
W tem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka —
Spojrzał na te krzyczące i zapytał: „Jaka“?

To samo pytanie: „jaka Polska“ zadaje Słowacki Krasińskiemu [17]) „...Ty — jak drudzy — nie możesz powiedzieć „Polski chcę“ — a pomyśleć wprzód, jakiej Polski i komu potrzebnej... Żaden

[17]) List bez daty. Listy III, str. 236.

Anglik nie mówi sobie: wynajdę machinę lepszą od wszystkich machin wynalezionych — i nie kupuje materjałów wprzód, nim siłę jaką nową ruchu wymyśli,... bo każdy wie, iż samo przystosowanie do siebie drewien — żelaz — sprężyn i sznurów nic nie utworzy. Choćbyś miljony wydał na materjały — a w duchu nie widział już, ku czemu służyć mają różne członki zebrane, nic nie uczynisz... Poczęcie winno poprzedzić urodzenie"... (To przykładowanie na Angliku ma stwierdzać, że takie tylko myślenie jest myśleniem realnem — na co ambicjonuje Słowacki, odżegnując się niejednokrotnie w listach od zarzutu mrzonek mistycznych; — Anglik przecież jest wzorem człowieka realnego!).

Z punktu widzenia mesjanicznego, że narody nie są celem same w sobie ale są narzędziami ku spełnieniu celów przeznaczonych im na drodze Bożej, jest to rozumowanie ściśle logiczne. To też w niezachwianym optymizmie, charakteryzującym ten okres jego życia, i w poczuciu ważności odsłonięcia przez siebie idei polskiej, pisze Słowacki do ks. Czartoryskiego (List II): „Jestem i jesteśmy już... bo zaprawdę w tonie listu mego czujesz zapewne W. Ks. Mość że już jest Polska... Duch Polaka zdolny się odróżnić nie ubiorem, nie językiem, ale we wnętrznościach swoich wołającą polską naturą"! Albożże zresztą w tych słowach — niezależnie od pojmowania istoty ducha polskiego — nie kryje się ziarno głębokiej prawdy?

To wysuwanie na czoło strony duchowej, z usunięciem niejako na plan drugi odbudowania Polski w kształcie ziemskim, czyni wrażenie jakoby pewnej obojętności dla tych usiłowań, które przecież zaprzątały umysły całego narodu a w szczególności całej emigracji. Temu wrażeniu dało wyraz pismo Aleksandra Niewiarowskiego, drukowane w lutym 1848 r. w „Trzecim Maju", w którem wyznaje, że ujęty zrazu pięknemi ideami i świętobliwem życiem Słowackiego, odstrychnął się od niego, widząc, że sprawę odbudowania Polski odsuwa on na plan dalszy, wysuwając na czoło oderwane od życia ideje. Ze stanowiska życia realnego sąd ten jest zapewne słuszny, nie jest jednak słusznym, jeśli chodzi o ocenę stopnia miłości Słowackiego dla Polski. Mamy tu bowiem do czynienia tylko z odmienną formą miłości, odpowiadającą psychice marzyciela, z jej prymatem świata wewnętrznego. Jeśli miłość ubiera przedmiot ukochania w barwy najpiękniejsze, we wszystkie przymioty doskonałości, jeśli mierzyć się może wprost zaślepieniem — to zaiste nikt nigdy nie odział Polski — czy może jej wyobraźniowego widma — w szatę wspanialszą, szatę utkaną z przędzy genezyjskiej światów.

Na drodze genezyjskiej, poczynającej się z chwilą, kiedy Bóg dał duchowi „atom, czyli moc objawienia się kształtem", przez wszystkie formy, które duch w swym pochodzie postępowym wypracowuje, aż do ostatecznego celu, do „Jerozolimy słonecznej", stworzenie całe przewiewa westchnienie za podniesieniem się wyżej, boleść genezyjska w ucisku formy niedoskonałej, miłość ideału świecącego z oddali. A oto ten cel ostateczny, ta Jerozolima słoneczna, którą Jan Święty widział w objawieniach, usymbolizowaną w niewieście ze słońcem na głowie i księżycem pod stopami — transfiguruje się w Słowackiego interpretacji tego symbolu w „Córkę Słowa", „Panią jednego z ludów na północy, którą judejscy widzieli prorocy", w Polskę [18]). Ta jest formą ostateczną, czy przedostatnią, przez którą wszystkie duchy przejść muszą, — ku czemuż więc, jeśli nie ku niej, biegną westchnienia globu od zarania wieków?! „...Na drodze do celów finalnych niebieskich, a jako cel i szczyt świętości ziemskiej stoi święta Ojczyzna nasza — a wszystkie duchy przez nią przejść muszą, gdy zbliżone ku doskonałości Chrystusowej ukażą się po raz ostatni na ziemi. Nie fenomen to więc jest owa miłość Ojczyzny, którą my w duszach naszych czujemy, ale prawdziwe przywiązanie przeczuciowe ducha do rzeczy zbawiającej, do sakramentu świętości ziemskiej". (Z Rozm. I; „Lamus" III str. 249). Czułość i miłość dziecięca ku matce, charakteryzująca kult religijny Najświętszej Panny, przenosi się przez to jej utożsamianie z Polską — na Polskę. A gdy najwyższe nawet, oderwane od ziemi wzloty, wypowiadać się muszą ziemskim jezykiem, zapożyczać słów i barw z ziemskich doświadczeń [19]), toż i w kult religijny przechodzi język wzruszeń na ziemi najsilniejszych, język erotycznych ekstaz. Zjawisko to w mistyce religijnej powszechnie się powtarzające. Wraz z onem utożsamieniem symbolu niewiasty na sierpie księżyca przenosi się ten rys erotyzmu religijnego z kultu Panny Naj-

---

[18]) „Król Duch" rp. I, p. 1 st. 16 — 18, i potem wielokrotnie; zob. też „Poeta i Natchnienie", „Góry się ozłociły" i „Do autora trzech Psalmów". — Utożsamianie niewiasty z Apokalipsy z Polską nie jest wyłączną własnością Słowackiego. Tretiak przypisuje Krasińskiemu (w „Przedświcie") pierwszeństwo. Niewątpliwie wizja „Królowej Polskiej" w „Przedświcie" genetycznie poprzedza pomysł utożsamienia Polski z niewiastą Apokalipsy, ale to jeszcze nie to samo. Dopiero później, w liście do Cieszkowskiego z 27 września 1842 r. Krasiński komentuje w tym sensie Apokalipsę. Słowacki o tym wykładzie dowiedział się z (zaginionego dziś) listu Krasińskiego, na który znamy tylko jego odpowiedź z daty 17 stycznia 1843 r. Pisze on: „Twój list Apokaliptyczny świeci mi jak lampa w gotyckim kościele, — jak różyca różnokolorowa, przez którą patrzy słońce — ale roztęczowane, niepewne... Zgadłeś kilka kształtów — i z wzroku, który Adam rzucił na jednego ze swoich uczniów, kiedym mu o liście Twoim mówił, widziałem że Mistrz tak samo tłómaczy niewiastę w słońcu na włosach, z księżycem pod nogami". Mamy więc w przybliżeniu określony czas powstania tej mistycznej koncepcji i stwierdzenie jej zgodności u Krasińskiego i Mickiewicza, względnie u Towiańskiego, chociaż w szczegółach nie musiała ona być identyczną. Co do Słowackiego, to być może, że przejął ją z owego listu Krasińskiego. (Zob. o tej sprawie wywody Pigonia l. c.). U Krasińskiego, jak i w utworze „Góry się ozłociły", niewiasta trzyma na ręku dziecię — (zgodnie z Apokalipsą). Symbolizuje ono ideę nowej epoki, niańczoną przez Polskę. W innych utworach Słowackiego niewiasta nie ma na ręku dziecięcia. — Później pojawia się u Słowackiego inny jeszcze pomysł: utożsamienie apokaliptycznej niewiasty z „Panią miesięczną" czyli „Matką Miesięcznicą". Jest to w duchu gnostycznym pojęty demiurg niewieści, współstworzycielka globu. Pojawia się ten pomysł w Liście do Rembowskiego (rozdz. „Jak powstał z ducha atom ziemski"), a rozwinięty zostaje szczególniej w jednej z odmian Rapsodu II „Króla Ducha" (w mojem wydaniu Odm. 10; zob. tamże komentarz). Szczegółowy wykład zob. w mej „Mistyce Słowackiego" (rozdz. trzeci VIII, pod koniec), gdzie też wskazuję na niewątpliwą zależność od Boehmego. Ta wielorakość znaczeń apokaliptycznej niewiasty, (jako Najświętszej Panny, Pani lub „córki" Słowa cz. Polski, Jerozolimy słonecznej i Matki Miesięcznicy) czyni ten symbol tak zawiłym, że traci swoje (symboliczne czy poetyckie) prawdopodobieństwo. Jednakże pomysł o Miesięcznicy jest chronologicznie późniejszy i niewiadomo, czy należy go łączyć z poprzednim, czy traktować jako osobny, z tamtemi nie związany. Że w genezyjskiej nauce miała miejsce ewolucja i zachodziły różnorakie przeobrażenia, wskazałem w rozprawie mojej p. t „Chronologja pism genezyjskich i rozwój genezyjskich pomysłów Słowackiego" („Pam. Lit." 1927).

[19]) „Biedne my duchy! zawsze z jednej schedy
Brać musim nasze co piękniejsze szaty"!
(„Król Duch." Rp. p. 1. sf. 61).

świętszej, Królowej Polskiej, i na Polskę samą. Piękność jej jawi się poecie w wizji religijnie uświęconej piękności kobiecej:

Idźcie...
Aż wam przejasna zastąpi dziewica, —
Ta złote słońce Pańskie ma na głowie
A pod nogami obrączkę księżyca.
Raz na obłokach promiennych widziana
Przez sługę Chrystusa, przez Świętego Jana,
Przyszłego świata święta monarchini,
Teraz ukryta z dzieckiem na pustyni,
Piękna jak zorza... Długie jej warkocze
Ciemne — ku światłu w złoto się zmieniły,
W oczach szafiru światła i przezrocze,
W głosie anielskie nieskończone siły;
Porywać serca ludzkie umiejąca,
A moc miłosnych dreszczów miała w dłoni
Gdyś odszedł od niej — a pomyślał o niej!..

W jednym z warjantów Rapsodu „Króla Ducha", duch Hera Armeńczyka, po przebyciu żywota w ciele Popiela, powraca do Erebu między starożytnych bohaterów i opowiada im o Polsce. A oni

Stanęli wszyscy... ręce wznieśli w górę,
Hełmy zrzucili z czół, zatlili oczy...

Nad tymi pogany zjawia się Pani Słoneczna, a wtedy Homer

Patrząc rzekł: „Piękność ta nie jest kobietą,
Nawet ta, którą widzieli poganie
Z piany mórz srebrnej jak róża rozwitą,
Niechaj tu przyjdzie i na muszli stanie
A o koral ust walczy z Amfitrytą, —
Niech Tetys w perłach — a wszystkie trzy zginą
Przed tą świecącą na niebie dziewczyną"!

Gwiazdy Hellady gasną tedy przy tem nowem słońcu... Słońce to jest oczywiście natury duchowej, piękność jego jest pięknością idei. Czyż dziw, że Polskę, rozebraną z tych blasków miałby był poeta raczej za trupa?...

Dla człowieka żyjącego życiem realnem, wrosłego w ziemię, o niespaczonych naturalnych instynktach, stosunek do ojczyzny jest stosunkiem biologicznym, — poprostu czuje on swoją z nią jedność. Nienawidzieć może nawet jej wad, tak jak własnej choroby, ale chore członki są dlań przecież własne, nie cudze. Inaczej dla człowieka wyrwanego z rodzimej gleby, jeśli zwłaszcza z natury jest marzycielem; nie obejdzie się tu bez pewnego wypaczenia owego prostego biologicznego instynktu. Słowacki zarzucał emigracji, że pod wpływem cudzoziemskiego otoczenia zatraciła cechy rodzime, ale na nim samym we właściwy sposób odbiło się to oderwanie od rodzimego podłoża... Ale gdy pod wpływem silnego wstrząsu marzyciel budził się ze snu, wtedy wybuchał niespodzianie ów instynkt nieomylny; takim wybuchem była gwałtowna reakcja przeciw sławetnemu listowi Chodźki do cara Mikołaja. Zresztą stosunek Polski w idei do Polski w ciele przedstawia się u niego wprawdzie tak, że jeśliby Polska w ciele nie odpowiadała idei, to niechby raczej nie była— bo to, coby się nazywało Polską, nie byłoby nią naprawdę. Ale nie znaczy to z drugiej strony, że byle była w idei, to obojętne jest, czy istnieje w ciele; że tak nie myślał, dał zresztą dowód, popierając osobiście powstanie poznańskie. Wiarą jednak jego było, że jeśli ugruntuje się w idei, to przez to samo nieodzownie powstanie cieleśnie. „Zapały te — mowa o zapaleniu się ideą genezyjską — kraj ci jakby we śnie stworzą, a ty go ugruntujesz, skoro ci już w ręce nie myśl sama, ale kamień się formy dostanie" — czytamy w piśmie „Do emigracji o potrzebie idei". Idea bowiem stworzy zapał do czynu, który zmiecie wszystkie przeszkody. Idea stworzy jedność duchową, bez której rozprzęga się samo pojęcie narodu; narody bowiem są to „gromady ducha jednego". — A w oczach Bożych narody są narzędziami wielkiej „operacji Bożej" na drodze genezyjskich celów; mają one spełnić przeznaczoną sobie misję, która w ich idei leży. Jeśli wraz z ideą to wyznaczone im zadanie porzucą, stają się niepotrzebnemi, — Bóg je opuszcza. Wreszcie opuszcza je wtedy i pomoc innych narodów. Bo niepotrzebnym wpośród ludzkości jest naród, który nic własnego do niej nie wnosi, który upodobniwszy się do innych, pomnaża tylko liczbę, a wyzbył się własnej twarzy; narodowi, który niema twarzy własnej, nie potrzebna jest własna osobowość państwowa. Trzeba coś przynieść ze swego, aby być przy wspólnym stole ludów szanowanym i potrzebnym. Któż pomoże ludziom niepotrzebnym, którzy oświadczają wyraźnie, że chcą dom swój na to tylko odebrać, aby w nim używali dostatku i wczasów, albo czynili rzeczy pracom innych narodów podobne? Twarz swoją duchową wymaluj przed narodami, a żaden lud nie zaśnie, ale westchnie, aby się twarz ta ciałem zjawiła... Przytomną się uczujesz w każdej godzinie między narodami, już nie żebraczką narodów, już nie próżno płody ziemi jedząca! (l. c.)

Ale prócz tych przytoczonych przez Słowackiego motywów gra w duszy jego rolę zasadniczą jeszcze jeden, związany ściśle z całym kompleksem jego wierzeń mistycznych. W kosmogonji „Genezis z Ducha", duch stwarza kształt w sobie, zatem w idei, wyobraźnią i pragnieniem, — kształt stworzony wewnętrznie przez ducha realizuje Bóg w ciele. To prawo twórczości kosmogonicznej ma zastosowanie i tutaj, w odniesieniu do Polski. Korzeni się ten pogląd w jednym z odwiecznych pierwiastków mistyki, określanym jako „idealizm magiczny". Dusza w mistycznej ekstazie łącząc się z Bogiem, odbiera od Niego wiedzę: mistyka jest przedewszystkiem formą poznania. Ale przez tę komunikację z Bogiem może się dusza stać także uczestniczką Jego mocy: na tem polega teurgja i biała magja. „Czyn wewnętrzny" w nauce Towiańskiego ma te same korzenie; — tylko że Towiański nie przypuszcza bezpośredniej komunikacji z Bóstwem, ale tylko ze światem duchów bezcielesnych; w rezultacie wychodzi to na jedno. Słowacki, modyfikując bardzo znacznie na rzecz duchowej autonomji jednostki naukę Towiańskiego o przemożnym wpływie świata duchów, rozwija z drugiej strony jeszcze silniej pierwiastki idealizmu magicznego. Sprawa ta interesowała go, od pierwszej chwili przystąpienia do towianizmu, najżywiej. Jeszcze w początku roku 1843 (17 stycznia), pisze do Krasińskiego: „Co do mnie, najmocniej mnie zajmuje twórczość ducha, który podług słów św. Pawła, jeżeli z Duchem Bożym łączy się, jedno jest".

Bóg wedle jego nauki — zawierając z Noem przymierze — zrzekł się czynienia cudów, bo naruszenie praw rządzących materją zniosłoby wszelką odpowiedzialność człowieka. Natomiast prawa te zmienić może sam człowiek. „Więc jeśli cud jest, to do nas należy"—mówi w „Zborowskim". A ktoby mógł wzbudzić w sobie wiarę tak mocną—i powiedziałby tej górze „rzuć się w morze"— rzuciłaby się w morze; tę naukę Ewangelji rozu-

mie dosłownie, rozumiejąc przy tem wiarę jako wyobraźnię twórczą, to jest popartą przez twórcze pragnienie, „tęsknotę genezyjską“. Tylko że człowiek dzisiejszy do twórczości takiej nie dorósł,—zachowane to jest dla człowieka przyszłego. Na drodze genezyjskiego postępu z czasem do potęgi „w ruszaniu ziemią i morzem dorośniem“.

„Napełń się przenajświętszym ducha sakramentem,
A w duchu będziesz rządził globem, jak okrętem“.

Wymowną jest w tym względzie zapisana w „Raptularzu“ przypowieść o baletnikach i świętym człowieku. Baletnicy chcieli posiąść sztukę utrzymania się w powietrzu i robili długie a daremne ćwiczenia. A razu pewnego zobaczyli świętego pustelnika, który zatopiony w żarliwej modlitwie, podniesiony był z ciałem w powietrze... Wedle relacyj Hoesicka, Klaczko, świadek ówczesnych przygotowań powstańczych w Poznańskiem, opowiadał, że Słowacki na naradach występował przeciw bojaźliwej ostrożności, chcącej odwlec ruch, pókiby nie przygotowano należycie broni i organizacji; — liczył na samą siłę duchową jako na czynnik rozstrzygający [20]).

Temu to poczuciu bezwzględnego prymatu ducha daje wyraz ustęp z Księgi Legend „Króla Ducha“, w którym mowa jest o przedwiekowych przeczuciach pojawienia się na ziemi polskiego narodu:

Lud taki wstanie — mówili prorocy —
Że wszystkie ludów napełni skowrody
Miodów słodyczą... którego duchowi
Dano, że słońce złote zastanowi.
Gdy zechce, ciało do mogiły wrzuci,
Lud taki święty, anioł tak ogromny,
Że ani płaczek śmiercią swą zasmuci,
Bo duchem będzie na ziemi przytomny,
A kiedy zechce, po ciało powróci
I włoży na się jak pastuszek skromny
Swe dawne, w grobie porzucone kości,
Świecące, pełne cudownej wonności.

„Wrzucenie ciała do mogiły“ nie będzie przeto śmiercią dla tego ludu, — który duchem żyje, a zmartwychwstanie cielesne będzie rzeczą jakoby podrzędną, od woli własnej ducha zawisłą, będzie tylko skromnem odzianiem się w szatę świętą, lecz ubogą, królewskości tego ducha nie współmierną...

Takie jednak związanie sprawy polskiej w sensie mesjanicznym z ideą genezyjską niepokoiło niekiedy sumienie narodowe Słowackiego; instynkt życia budził się i przeciwstawiał marzycielskiej doktrynie. W lutym (19-go) 1846 napisawszy list do Krasińskiego [21]) bierze jeszcze raz pismo do ręki i taki oto daje wyraz niepokojącym go myślom: „...jeszcze biorę tę ćwiartkę papieru—aby dłużej z tobą pomówić... Powiedz mi święcie i sumiennie — czy Polska zdolna jest wyprzeć się tego słowa „chcę umieć“, a zacząć od „wiedzieć chcę...“ to jest umiejętność analityczną wymienić na mądrość wnętrzną widzącą? Znasz teraźniejszych Polaków—powiedz więc, czy te natury młode nie będą mocniejsze i skorsze do czynu, działając tylko instynktownie — od tychże samych natur, gdybyśmy je dziś od *a* do *z* zaczęli odbudowywać z wiedzy dawnej... Jam takie budownictwo odbył w przeciągu lat czterech — a oni dziś zacząwszy wielu by lat potrzebowali? — Niebyłożby to grzechem czasu [22]) zaczynać?... Dzieckiem jest Hamletowe wahanie się — w porównaniu z tem, jakie ogarnie duchy, czujące w sobie ojcostwo narodu,—Usta się im pozamykają — błyskawic nawet z oczu rzuconych lękać się będą—otoczą się kołem wieków—i cichością czasów przyszłych obalsamują się—trupami je nazwą teraźniejsi—w nich wszakże będzie żywot prawdziwy... Powiedz — nie lepiejże młodzież zostawić pod Quinetowemi i Micheletowemi retorykami? Nic w tych ludziach niema karmiącego — ale jest spirytusowy pierwiastek — niech więc exaltuje krew... Trzeba nam Narodu — trzeba mass jakkolwiek stworzonych... Niech Russo przeciwko Rossjanom walczy... niech wyznanie wiary Wikarego Wakfildzkiego jezuitów wali, — niech jezuici walą cerkiew, — dla nas nieśmiertelnych czas przyjdzie... teraz może milczeć wypada?“

A więc: „...trzeba nam Narodu, trzeba mass jakkolwiek stworzonych...“ Dylemat: Polska w idei—a Polska w ciele, rozstrzygnięty pierwotnie na rzecz idei, zostaje odwrócony: naprzód Polska — a potem pytanie „jaka Polska!“ Zasada: naprzód przebudowa dusz—a potem sięgnięcie po niepodległość, zachwiała się...

...A jednak... w jakieś półtora roku później, pismo „Do emigracji o potrzebie idei“, kończy przypowieść następującej treści:

Co roku, gdy Wisła wezbrała, stojące nad nią tłumy słyszały skądeś, jakoby z drugiego brzegu, głos wołającej Ojczyzny. Radzono tedy i przysposabiano się, budowano mosty i łodzie, brano naukę pływania od nauczycieli, aby gdy zjawisko się powtórzy — można było matkę wołającą sprowadzić. Ale wszystko daremnie. Był zaś jeden człowiek, który rzucając się w toń czasu spokoju ćwiczył się w pływaniu, i nietylko na powierzchni, ale i pod wodą, gdzie w końcu mógł całe godziny przebywać. Kiedy więc powtórzyło się zjawisko, śledził za głosem wołającym, który zdał się wychodzić z pod wody. I rzucił się na ratunek. A wtedy, gdy już zda się zginął w topieli, wyszła z niej Ojczyzna, niosąc go omdlałego na rękach... Nie odwrotnie. Nie czyn przeto ostatecznie rozstrzygnął—ale ofiara... Ofiara uczyniła cud... A Ojczyzna niosąc na rękach omdlałego mówiła: „...Oto przez wolę i miłość jednego człowieka, który się domyślał drogi, po której pójdę, wyratowaną jestem i żyć będę na wieki.— Uczcie się! iż potrzeba jest zgłębić dno globu a obaczyć tajemnicę żywota i nauczyć ducha waszego, aby przez całe godziny mógł żyć w głębinach wiedzy Bożej jako duch widzący świat ducha!... W środku aż bowiem ziemi może się pokazać anioł ów ze słońcem na głowie i miesiącem stratowanym pod nogami, o którym mowa jest w Jana św. widzeniach.“

(D. c. n.) JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

[20]) Porównaj też wiersz „Wiwat Poznańczanie“! (Gubr. I· str. 272). „Półgłówek“, o którym mowa w dwóch ostatnich strofach, to oczywiście sam Słowacki; z tych strof jednak bądź co bądź wynika, że Klaczko nieco przesolił.

[21]) Jest coś tragicznego w tem, że data tego listu jest datą rzezi galicyjskiej! Tam w kraju straszliwa tragedja, tu na emigracji marzyciel roztrząsa swoje sumienie, czy wolno mu sprawę polską wiązać ze sprawą genezyjskiej kosmogonji...

[22]) „Niebyłożby to grzechem czasu zaczynać“? Sł. niejednokrotnie krytykując towianizm Mickiewicza mówi, że bywają prawdy „absolutne“, które „do czasu“ zastosowane, są szkodliwe. I tutaj ma to samo na myśli.

NA WIDOWNI

Daty jubileuszowe i fakty bieżące. — Zbieżność czy związek? — Niegościnna gościnność. — Drzewo czy pudło? — Seans medjumiczny z Guzikiem. — Wiedzą sąsiedzi, za co kto siedzi. — Najlepszy kompas. — Testament ojców z lat 1410 — 1456 — 1807. — Myśl polska nie może stać niżej poziomu morza.

WYPADKI dziejowe, które wspominamy w tym roku, jako że ścielą się za nami w systemie dziesiętnym czasu, są takie: Grunwald 1410, plebiscyt na Mazurach 1920, wyprawa kijowska 1920. Jednak nasz obecny rok 1930 jest nietylko jubileuszowym, jest on również historycznym: w tym roku zbiegły się fakty, które kiedyś dzieci nasze znowu w datach dziesiętnych wspominać będą. Mianowicie: 1) Niemcy, biorąc za punkt wyjścia owe ziemie mazurskie, dziesięć lat temu przy pomocy Anglji podstępnym plebiscytem nam wydarte, zgłosiły pretensję do reszty polskiego Pomorza, 2) dzieje się to jednocześnie z ustaniem gwarancji pokojowej, jaką były wojska francuskie nad Renem, 3) wyszły na jaw plany nowej ekspansji na Wschód, która znowu będzie dywersją dla robót niemieckich na naszej granicy zachodniej, 4) rozstrój polityczny w Polsce doprowadzony na tę datę do krańca, grożącego kryzysem.

Dziwna, jak mówią dyplomaci, „koincydencja". I dobrze się stało, że fakty te zbiegają się z dziesiętnemi jubileuszami, umysłowość bowiem polska budzi się przez uczucia, płynące ze wspomnień, a budząc się widzi z przerażeniem, że wspomnienia nie są snem, lecz jawą, w dziejach tkwiącą, z którą przecież trzeba się załatwić — czynem. Gdybyż rachunki dziejowe zamykać można było *ad acta* jubileuszami!

Koincydencja! A cóż powiecie, jeżeli te fakty ściśle z sobą są związane?

Nie jesteśmy i nie powinniśmy być w dziejach martwym przedmiotem, który fala znosi. Nie jesteśmy też koczownikami, aby nas losy pędziły na wędrówki. Wkorzenione w ziemię drzewo rośniemy, jak za Bolesława Chrobrego, mając swoje przyrodzone miejsce od morza. Skądże więc te pretensje Niemców, abyśmy się dla nich usuwali z ziemi, skądże to ustawiczne *iunctim* między Pomorzem a Ukrainą, ale najważniejsze pytanie: skąd biorą się w Polsce ludzie, którzy wiedząc, że tworzenie Ukrainy jest marotą polityki niemieckiej, zawsze powracają do tego tematu właśnie wtedy, gdy Niemcy chcą osłabić nas na granicy zachodniej?

Zanim dojdzie do rozprawy z Niemcami, musimy rozprawić się ostatecznie wewnątrz kraju z amatorami polityki federacyjnej „ukraińskiej". To się nie może powtarzać tak automatycznie, żeby akcja niemiecka na Zachodzie zbiegała się w dacie z naszemi rodzimemi jakoby zachciankami na Wschód. Bo w końcu nikt nie będzie wierzył w przypadek, bo to już będzie system. Niemcy do nas w gościnę, a my drugiemi drzwiami — na Wschód. Tak wygląda, jakby nam zależało, żeby się z gościem nie spotkać: niech się sam zagospodaruje.

Bo to już nie pierwszy raz. W r. 1914 Niemcy na Wschód, a nam jeszcze tam pilniej. Już nie Pomorze, ale całą Polskę im ustąpiliśmy z całem zaufaniem. W r. 1920, kiedy plebiscyt groził naszym granicom zachodnim, ci sami ludzie znaleźli pilny interes w Kijowie. A teraz w 1930, kiedy cały świat patrzy z trwogą na manewry polityczne Niemiec, przygotowujących atak na naszą granicę zachodnią, znowu jakieś pilne interesy na Ukrainie.

Wytwarza się zjawisko bardzo interesujące oddziaływania medjumicznego. Tendencje niemieckie, znane w historji pod nazwą *Drang nach Osten*, udzieliły się ich sąsiadom wschodnim. Jakby z drzewa żywego Polska była przerobiona na jakieś pudło, które można posuwać. Prąd niemiecki, udzielając się biernemu pudłu, wywołuje lewitację, która się nazywa dążeniem federacyjnem.

Składa się na to parę okoliczności i właściwości, jak zwykle przy seansach. W pokoju musi być ciemno. Najlepiej tedy, żeby nie było wolnej prasy ani sejmu. To, że wyekspirował dekret prasowy, już jest wielką przeszkodą w seansie. Musi być potem odpowiednie *medium*, jakiś Guzik, dobrze nahypnotyzowany, potem towarzystwo ślepo mu wierzące, w każdym razie, jeśli się przyplączą oszuści, to niech pomagają, ale gdy będą kraść pugilaresy, zjawisku sprzyjać to nie będzie.

Każda zbiorowość, wchodząca w grę polityczną na prawach udzielnego państwa, musi mieć swoją **własną** politykę. Tę myśl polityczną dać może tylko naród historyczny, którego dane państwo jest dorobkiem. Gdy jakaś grupa, która zawładnie sterem politycznym, ulega doktrynie, że myśl narodu jest zbyt egoistyczna i wyłączność jej praw zakwestjonuje, wtedy automatycznie wkracza na ten teren myśl sąsiada, który się swojej polityki nie żenuje. Wtedy owo państwo staje się wasalem siłą faktu psychicznego, bardzo bliskiego oddziaływaniu hypnotycznemu. Dlatego byle kto steru imać się nie może; musi to być z kultury pan dziedziczny myśli historycznej narodu, która sięga poza czasy zaboru i walki z caratem, która np. ma w pamięci Grunwald tak, jakby to było zdarzenie z onegdaj.

Niemasz dla sternika lepszego kompasu, jak myśl historyczna narodu. Kto nie ma wiary w ten kompas, a bierze się do polityki, ten daje dowód niepoczytalności. Stwarza przytem sytuację groźną dla siebie, bo jego dobrą wiarę, jeśli ją ma, przerośnie zawsze zła wola ludzi, którzy się koło niego zgromadzą, obcej sprawie oddanych. A po czemże ją w skutkach odróżnić od niepoczytalności politycznej? Ci złej robocie nie pozwolą zatrzymać się w porę i ci w końcu stają się główną siłą owej „lewitacji".

Bo czyż sąsiad, mający program obracania wszystkiego dokoła na swoje narzędzie, zaniedba kupić ludzi słabego charakteru, których przytem rozgrzesza autorytet panującej doktryny? Ci najgłośniej będą krzyczeć, że jedynym wrogiem państwa jest obóz narodowy, który chce jakoby skierować politykę na mieliznę.

Powróćmy szczerze na linję historyczną przodków, a nie będzie sporów w kraju i tego strasznego stanu, jaki się rodzi z braku ufności narodu do sterników i z nienawiści do ducha narodu, która tę nieufność zdwaja. Polska nie może odejść od ujścia Wisły dzisiaj z tych samych powodów, dla których szła w bój z Krzyżakami 520 lat temu. Wtedy rozumiała tę konieczność cała Polska, bo i ziemie jej litewskie, a dzisiaj mamy pilniejsze zadania? Zwycięstwo grunwaldzkie nie było gruntownie wykończone. Po Marnie znowu nie pozwolono zwycięscom zabezpieczyć całkowicie praw naszych do morza; w dodatku skrzywdzono nas haniebnym plebiscytem w Prusiech Wschodnich. Na Warmji, Powiślu

i Mazurach pozostaje w niewoli pół miljona naszych rodaków. Protest nasz przeciwko plebiscytowi, wniesiony do Ligi Narodów, trwa w swej sile, nie załatwiony jest dotąd. Sami sobie sprawiedliwość wymierzyć musimy. Jak zwycięstwo grunwaldzkie poprawił potem Kazimierz Jagiellończyk, który wiedział dlaczego 13 lat wojował o Pomorze, tak i my teraz swego celu z oczu nie stracimy. Nie powtórzymy błędów późniejszych królów, którzy szli w kierunku wówczas łatwiejszym na Wschód.

Zapominamy o innej dacie: o pierwszej wojnie rodzącego się Księstwa Warszawskiego, o naszem wkroczeniu do Gdańska i zajęciu Pomorza w r. 1807. Interesy Napoleona, walczącego z naszymi zaborcami, zbiegły się tutaj doskonale z polskim interesem. Ale wtedy myśl polską reprezentował pomorzanin Wybicki i poznańczyk Jan Henryk Dąbrowski, żołnierz i mąż stanu. Dla nich i dla Napoleona było aksjomatem, że jakiekolwiek istnienie Polski jest nie do pomyślenia bez Pomorza. Pod samym Gdańskiem, nie licząc innych bitw na Pomorzu, padło 2.000 Polaków. Na jednym z pogrzebów sztabowiec Sapieha tak przemawiał do wojska:

„Polacy, bohaterskie plemię! Niedołężność ojców nie potrafiła zatrzeć win przodków naszych. Prowadźcie wzrokiem z tego wzgórka na ów Gdańsk, którego teraz powróceniem ojczyźnie zatrudniacie się... Rzućcie okiem z drugiej strony na te nieprzejrzane Pomorza niwy nam wyłudzone, wiarołomstwem wydarte... Kilka wieków bezpiecznieśmy ten kraj piastowali. Widzicie ten niestały element, te niezmierzone okiem przestrzenie Bałtyku; i to było naszą własnością za Zygmuntów. Polskie nawy pruły jego powierzchnię i obfitość kwitnącym handlem w kraj nasz wprowadzały. To wszystko sławne przodki nasze w straż ojców oddali i to wszystko ich niedbałością stracone, waszemu odzyskaniu jest powierzone... Może kiedyś losy przestaną nas nękać, Polak powrócony do dawnego bytu, obstąpiony swoją rodziną, wskazywać jej będzie ten grobowiec, jako ślad zasług naszych i jako naukę, jak wiele kosztuje odrodzenie się upadłego Narodu“...

Tak jest. Miarą upadku polskiej myśli politycznej był i będzie zawsze stopień jej spadania poniżej poziomu morza. Komu z Warszawy morze nie widne, ten nie ma prawa brać się do steru Polski. Dopokąd w Polsce nie będzie to aksjomatem, dopokąd trzeba będzie kłócić się o morze z rodakami ze wschodu, dopóty będziemy tylko przedmiotem dziejów, ulegającym lewitacji politycznej. Choćbyśmy tysiąc pomników postawili swemu Guzikowi, mocarstwem nie będziemy. Naród, te rzeczy rozumiejący, nie nadaje się do eksperymentów medjumicznych, a społeczeństwo polskie — trzeba to stwierdzić—pojęło o co chodzi. Położenie dyktatury, tającej przed narodem swoje plany, staje się w takiej chwili nieznośne. Obecny kryzys psychiczny w Polsce na tem właśnie polega. Seans się psuje. Tajemnicze siły przestają robić efekt. Polska, którą traktowano jako przedmiot martwy, otworzyła oczy i patrzy na ręce spirytystów.

Opinja zaczyna się dopytywać o przeszłość polityków, o ich sympatje i nałogi, zaczyna domagać się wyznań, choćby w gronie zaufanem ludzi rozumnych, jakie jest położenie Polski w polityce zagranicznej, co robi się w dziedzinie spraw, związanych z obroną kraju. Czy tam także światło przyćmione?

Na zabawy, na ryzyka i niespodzianki Polska nie ma nic do stracenia.

ZYGMUNT WASILEWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

O LITERATURĘ DLA MŁODZIEŻY

DOSKONAŁY artykuł ś. p. Maryli Wolskiej, ogłoszony w n-rze 27 „Myśli Narodowej“, oświetlił jaskrawo aberrację „pacyfiksacji“, głoszonej u nas przez pewne sfery z gorliwością godną lepszej sprawy [1]). Rzecz znamienna, że u nas obok socjalistów i komunistów zajmują się gorliwie propagandą pacyfizmu te same sfery, które organizują równocześnie — przysposobienie wojskowe, t. j. sfery „sanacyjne“. Przykładem jest choćby wspomniana w artykułach p. Hajewicza p. Pohoska, która jest jedną z czołowych postaci wojującej „sanacji“, przykładem są artykuły „Gazety Polskiej“, podkreślające z lubością wpływy masonerji w harcerstwie angielskiem, przykładem wreszcie jest cała działalność „sanacyjnego“ dziś Związku nauczycielstwa szkół powszechnych, który bezkrytycznie w rozmaitych enuncjacjach deklamuje o pojednaniu narodów i zachwyca się niemieckim pacyfizmem. Naprawdę, godzi się zapytać, jeśli istotnie prąd pacyfistyczny jest taki silny i zwycięski, to poco te miljony, obrócone na przysposobienie wojskowe młodzieży? Czy to wszystko ma być tylko przygotowaniem defilad imieninowych? I czy dziecko, karmione od maleńkości odrazą do „szabelki“ i „blaszanych żołnierzyków“, nie będzie w latach młodzieńczych entuzjazmować się tuwimowskiem: „Rżnij karabinem w bruk ulicy?“

Na szczęście ten cały wzniosły pacyfizm, ten „kwiatuszek“, to „pisklę“, „źródełko“, „narzędzie rzemieślnicze“, ta cała literatura, wielce zdaniem niektórych pań, pedagogiczna — ma jedną zasadniczą cechę: jest nudna jak flaki z olejem. Może sobie pani Szelburg-Ostrowska wydać jeszcze dziesięć książeczek o „Rzemieślniczkach-wędrowniczkach“, może sobie p. Janusz Korczak propagować sympatję dla żydka-spółdzielcy w „Bankructwie Dżeka“, a jednak dzieci nasze—będą się bawiły ołowianemi żołnierzykami i będą rozczytywały się w starym Cooperze, czy w „Duchu puszczy“, potępionym ongi przez ś. p. Szycównę, czy nawet w rozbójniczych „Skarbach na wyspie“ Stevensona. Książę Józef Poniatowski w lichych powieściach Przyborowskiego, czy bohaterski Stach Tarkowski Sienkiewicza będzie im bliższy, niż zbankrutowany Dżek, albo „Król Maciuś I“ Korczaka. Bo egzotyzm, pierwiastek walki, kult bohaterów — są potrzebą fantazji dziecięcej i młodego uczucia, a wykrywanie wielkich rzeczy w szarości dnia codziennego — jest dla dziecka czemś strasznem i nienaturalnem.

Artykuł ś. p. Wolskiej nasuwa jednak smutne refleksje, jeśli uprzytomnimy sobie, w jakim kierunku idzie nasza literatura dla młodzieży. „Szlachetny“ semita, p. Janusz Korczak—to postać najpopularniejsza z pośród współczesnych pisarzy dla młodzieży. Janusz Korczak, to człowiek, który potrafi równocześnie prowadzić żydowski Dom sierot na Krochmalnej i równocześnie dla polskich dzieci „Nasz Dom“ na Bielanach pod protektoratem p.

[1]) Temat podobny poruszał już p. J. Hajewicz w doskonałych artykułach p. t. „Propaganda pacyfizmu w wychowaniu“, drukowanych w numerach 10—13 „Myśli Narodowej“ oraz p. Z. P. w artykule o „Agitacji antypolskiej w geografji niemieckiej“ („Myśl Narodowa“ str. 299 i 314).

Aleksandry Piłsudskiej. Janusz Korczak—to istny genjusz pisarski, który potrafi co piątek na swojej koszernej kuchni wysmażyć syjonistyczny „Nasz Mały Przegląd“, pełen uwielbienia dla tradycyj żydowskich i zwyczajów religijnych, pełen tęsknoty do Palestyny, a ponadto co rok wydać u Mortkowicza nową książkę dla młodzieży—także polskiej, tym razem chemicznie wypraną z wszelkich nacjonalizmów, z ducha religijnego i t. p. pierwiastków, które w duszach młodzieży aryjskiej mogłyby się stać niebezpieczne dla czytelników „Małego Przeglądu”. Janusz Korczak nie lubi pisać o wojnach chyba *pro foro interno* w „Małym Przeglądzie“ o Machabeuszach, albo o walkach żydów z Arabami w Palestynie.

Kult tradycji, kult wielkiej przeszłości, kult bohaterów dziwnie obcy jest współczesnej naszej literaturze dla młodzieży, o ile nie chodzi o kult dla legjonów i Piłsudskiego. O tych współczesnych wielkościach wychodzą coraz to nowe mniej lub więcej subwencjonowane utwory, ale dalej w przeszłość autorowie nasi dziwnie niechętnie sięgają. Może dlatego, że w tych nieznanych regjonach zbyt łatwo skompromitować się — ignorancją, jak to ostatnio zdarzyło się paru autorom? Dobra współczesna powieść historyczna dla młodzieży jest rzadkością; mało jest u nas nawet literatury popularno-naukowej historycznej dla młodzieży. Na szczęście karmimy młodzież zawsze nieporównanym Sienkiewiczem, no i ciągle jeszcze zacnym Kraszewskim, który zresztą już trochę zanadto myszką trąci. Parę dobrych powieści historycznych Powalskiego i Domańskiej i odgrzewany w coraz to nowych wydaniach Przyborowski, wreszcie poczciwa Teresa-Jadwiga — ratują jak mogą sytuację, ale to wszystko mało.

Mdłym prądom pacyfistycznym i masońskiemu nudziarstwu musi literatura nasza przeciwstawić książki, przepojone kultem dla tradycji polskiej, dla polskiej dawności i potęgi, dla jej niezniszczalności w walkach z żywiołem niemieckim na zachodzie i dla jej roli cywilizacyjnej na wschodzie, kultem dla polskiego morza, czcią dla wielkich królów i wojowników. Do suchej nauki historji w naszych szkołach musi wejść prąd ożywczy od strony beletrystyki historycznej. Młodzież musi nietylko wiedzieć, ale i odczuwać głęboko, że Polska, jak jest dziś, tak i przed wiekami była—wielką rzeczą, za którą warto było umierać w boju. Młodzież polska musi znać i rozumieć przeszłość, jeśli ma pracować dla przyszłości.

Dobra książka dla młodzieży jest doniosłym postulatem chwili bieżącej!

T. JÓZEFOWICZ

NAUKA I LITERATURA

POD LIPĄ CZARNOLESKĄ

PÓŁTORA roku temu zaczęła w Poznaniu wychodzić pod egidą Księgarni św. Wojciecha bibljoteka poetycka, która dotychczas objęła zbiorki utworów Iłłakowiczówny, Zegadłowicza, Ligockiej i Kozikowskiego. Otrzymała ona piękne miano „Czarnolas“—podobno nadane z inicjatywy Emila Zegadłowicza. Niewiadomo, czy nazwa ta miała jakiś świadomy związek ze zbliżającym się jubileuszem czarnoleskiego poety, czy tylko poprostu zaznaczała łączność owego poetyckiego ogniwa z dawnemi zasadami rodzimej poezji polskiej: przyrodą, ziemią rodzinną i religją, którym wspak stanęły dzisiejsze hasła urbanistyczne i kosmopolityczne. W każdym razie dobrą myśl miała redakcja wspomnianej bibljoteki, że w roku zeszłym, na wieść o wyczerpaniu się pierwszego wydania „Przekładu łacińskich utworów Jana Kochanowskiego“ pośpieszyła do tłumacza, śp. Juljana Ejsmonda, z propozycją nowego wydania. Wydanie to istotnie doszło do skutku w stosunkowo prędkim czasie i ukazało się w najstosowniejszej chwili, jaka być może, a mianowicie w przeddzień 400-nej rocznicy urodzin Jana z Czarnolasu, opatrzone tytułem tak harmonizującym z godłem bibljoteki — mianowicie „Pod lipą czarnoleską“[1]).

Tytuł jest bardzo piękny i swojsko brzmiący — jednakże trochę nieścisły. Nie wszystkie bowiem łacińskie utwory Kochanowskiego powstały w Czarnolesie — owszem znaczna ich część należy do czasów padewskich i krakowskich. Sam tytuł jednego ze zbiorów *Foricenia* — świadczy, że utwory w nim zawarte powstały na królewskim dworze. Wiedział o tem i Ejsmond, który — jak z przypisów widać — doskonale zapoznał się z biografią czarnoleskiego poety; to też tytułowi wspomnianemu ponoś inne należy nadać znaczenie. W pięknej swej książce „Żywoty drzew“ zwierzał się nam Ejsmond, że te przekłady poczęły powstawać w cieniu lipy, rosnącej na podwórzu jego rodzinnego domu, która wprowadziła go żywcem niejako w czarnoleską atmosferę. Pozatem stwierdzić należy, że w drugiem wydaniu Ejsmond istotnie dał pierwszeństwo tym utworom łacińskim Kochanowskiego, które miały związek z Czarnolasem, a przynajmniej, wsią polską.

Obecne bowiem wydanie — w przeciwieństwie do pierwszego — nie obejmuje wszystkich utworów łacińskich Kochanowskiego, ale tylko antologję; tu i ówdzie uległy skróceniu nawet niektóre dłuższe utwory. Drugą różnicę między obома wydaniami stanowi układ zbiórku; tym razem Ejsmond nie trzymał się kolejności utworów, podanej w pomnikowem wydaniu pism poety (r. 1884, tom 3-ci), ale dobierał utwory według ich treści, łącząc je w pewne cykle lub grupy. Czynił to z gustem i zamiłowaniem ogrodnika lub zbieracza pięknych kwiatów, układającego bukiet w ten sposób, by barwy tworzyły zespół jaknajpiękniejszy.

Wspomniane „wydanie pomnikowe“ dzieł Kochanowskiego służyło Ejsmondowi za podstawę przekładu. Szkoda ylko, że miejscami nazbyt zawierzył dołączonemu tamże prozaicznemu tłumaczeniu polskiemu, gdyż zawiera ono nieco błędów rzeczowych[2]). Pociągnęło to za sobą drobne nieścisłości i w przekładzie Ejsmonda. Zamiast je wytykać — coby było rzeczą zgoła jałową i nieciekawą — powitajmy z radością wielkie zalety przekładu: wysoki artyzm języka i formy wierszowej, melodyjność tak pokrewną polskim własnym utworom Jana z Czarnolasu, wreszcie trafne oddanie ducha utworów wielkiego polskiego humanisty. Przekład Ejsmonda jest godzien poezji Kochanowskiego i jest najlepszym ze wszystkich przekładów tej poezji, jakie dotąd przedsięwzięto. A miał Ejsmond na tem polu dwóch wybitnych poprzedników i niejako rywali: Brodzińskiego i Syrokomlę. Obu pozostawił daleko poza sobą.

Że Kochanowski, władający biegle kilkoma językami, („jest coś umieć alfę z betą“ — sam wyznaje), pisał nietylko po polsku ale i po łacinie, za to gniewać się niema powodu, owszem, mogło to, dla zagranicy zwłaszcza, mieć znaczenie wielkie, gdyż łacina była wówczas językiem międzynarodowym i można było z jej pomocą szerzyć w świecie sławę polskiego imienia. Że jednak pod szatą kosmopolityczną biło

[1]) Juljan Ejsmond „Pod lipą czarnoleską“. Przekład najpiękniejszych wierszy łacińskich Jana Kochanowskiego z Czarnolasu w 400-tną rocznicę urodzin wielkiego poety 1530-1930. Nakład księg. św. Wojciecha.

[2]) Dla przykładu cytuję: *Villa Pramnicana* przełożono tam „wioska Promnik,“ gdy tymczasem jest to słynny Dwór (pałac) prądnicki „włoskim kształtem zmurowany“ (Górnicki, „Dworzanin“), równający się wielkością niemal z zamkiem krakowskim *(celsis aemula turribus).*

w tej poezji serce polskie, można się przekonać zarówno z oryginału jak i z przekładu.

Na uwagę zasługuje i piękna przedmowa Ejsmonda, która stałym czytelnikom „Myśli Narodowej“ jest już prawie że znana, gdyż w skład jej wchodzą dwa artykuły. („Nieśmiertelność poezii staropolskiej“ i „Radość życia i młodość poezji staropolskiej“), zamieszczone w pierwszym roczniku pisma. Wywodząc poezję staropolską z gleby i przyrody ojczystej autor bierze w obronę jej „dobrą myśl“, którą za filisterstwo chciano poczytać.

Pełna tej „dobrej myśli“ — tak mogącej nas pokrzepić w dzisiejszych smutnych czasach — jest ta piękna książka, w której zmarły tragicznie wybitny poeta i tęgi zarazem znawca klasycznych języków współpracował z ojcem poezji naszej i pierwszym świetnym klasykiem polskim. Na lipie czarnoleskiej, co „jabłek wprawdzie nie rodziła“, ale była „jako szczep najpłodniejszy w Hesperyskim sadzie“, zaszczepiona gałązka ze słonecznego południa już po raz drugi ozłociła się plonem słodkim i pożywnym. Warto w cień tej lipy pośpieszyć, cieniem jej się ochłodzić i wonnem jej tchnieniem odświeżyć płuca, zalegle dymem, kurzem i swędem urbanistycznym.

JÓZEF BIRKENMAJER

RUCH WYDAWNICZY

Nakładem wydawnictwa Polskiego w Poznaniu ukazało się zdawna oczekiwane drugie wydanie „Hetmanów“ Józefa Weyssenhoffa (Bibljoteki Autorów Polskich t. 8). Powieść to w dorobku wielkiego pisarza jedna z najlepszych, zdumiewająca nietylko doskonałą strukturą, fabułą, ale i głęboką chazakterystyką postaci. Dwie z tych postaci szczególnie wrażają się w pamięć: z jednej strony przebiegła Żydówka Helena Latzka, uwodząca głównego bohatera powieści, z drugiej zaś posągowy Wojciech Piast, wyraziciel sumienia i narodowego poczucia. Wiadomo, że za tę powieść rzucili krytycy żydowscy *chejrem* na Weyssenhoffa i starali się wszelkiemi sposobami rozszerzaniu się jej przeciwdziałać. Machinacje te wszystkie opisał dokładnie sam Weyssenhoff na kartach swego ciekawego „Pamiętnika literackiego“, któryby należało odświeżyć sobie w pamięci po przeczytaniu „Hetmanów“.

*

G. Hauptmann należał u nas przez pewien czas do pisarzy modnych i tłumaczonych. Najwięcej tłumaczył go Kasprowicz — z pod jego pióra wyszedł przedewszystkiem przepiękny przekład „Dzwonu zatopionego“, piękniejszy od samego oryginału, to też słuszną cieszący się wziętością. Z czasem zaczęto u nas zapominać o Hauptmannie i nie tak sobie go cenić. Przyczyna była może i w tem, że sama twórczość Hauptmanna z czasem wyczerpała się i zmalała. Tęgi dramaturg przerzucił się do powieści — i na tem polu mniej okazał talentu. Są wśród tych powieści rzeczy nudne i ciężkie, najlepsze są jeszcze te, które powstały w latach młodszych pisarza („Budnik Tiel“ etc.). Obecnie wyszła w polskim przekładzie (Nakł. Wydawnictwa Polskiego) jedna z tych powieści, nosząca tytuł „Wyspa wielkiej matki“ (Bibl. laureatów Nobla). Jest to częsty u Hauptmanna konglomerat naturalizmu z fantastycznością, której podłożem są robinsonowskie przygody gromady kobiet i jednego młodzieniaszka, wyrzuconych na bezludną wyspę. Esencją fabuły jest kwestja dziewiczego macierzyństwa owych właśnie niewiast, przeobrażającego całą wyspę w dwa od siebie rozdzielone światy — mężczyzn i kobiet. Kwestja przeprowadzona jest umyślnie zawile, zresztą może i nie umyślnie, tylko wskutek wrodzonej Niemcom nielotności myślenia i wysłowienia. Podziwiać należy zręczność tłumacza, S. Wasylewskiego, który przełamał się z najcięższemi trudnościami oryginału.

*

Wyszły świeżo miesięczniki: „Pamiętnik Warszawski“ lipiec — sierpień). Treść literacka. O Kochanowskim pisze Parandowski; szkic prozą Maryli Wolskiej, wiele poezyj. — „Przegląd współczesny“ (lipiec) Tutaj Borowego „Kochanowski żywy“.— „Przegląd Powszechny“ (lipiec — sierpień). — „Niepodległość“ tom. 2 zesz. 2. — „Sprawy Narodowościowe“, maj 1930. — „Kwartalnik Pedagogiczny“ (lipiec): B. Suchodolskiego „Uwagi krytyczne o systemie Daltońskim“ i w. in.— „Prąd“ mies. Związku pol. intelig. kat. (lipiec — sierpień).— „*La Pologne*“ (Paryż, lipiec): Anna Leo „Niewydane pamiątki po H. Sienkiewiczu“.— „*Educazione Fascista*“ (Rzym, czerwiec).— „Przegląd Polityczny“ (Warsz., maj). — „*Literaturno-Naukowij Wisnik*“ (Lwów, lipiec — sierp.).

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Nie wielu jest pisarzy francuskich, u których by się rasowość galijska tak wyraziście uwydatniała, jak u Leona Daudeta. Wiecznie młody, pełen werwy i temperamentu, to pogodny i uśmiechnięty, to bezwzględny i nieustępliwy, gdy wpada w wir polemiki. Czasu swego na wygnaniu nie zmarnował, „*29 mois d'exil*“ (tytuł najnowszej jego książki) były niezwykle płodne dla niego i wzbogaciły literaturę francuską o kilka cennych utworów. Wyróżnia się z pośród nich tom p. t. „*Flammes*“. Jest to cykl wykładów, wygłoszonych w Belgji na temat polemistów francuskich ostatniej doby. Daudet zaznajamia najpierw z Proudhon'em, wielkim toeretykiem rewolucji francuskiej, z Victorem Hugo, autorem „*Châtiments*“, z Vallès'em, pierwszym rewolucjonistą rodzaju sentymentalnego. Peczem kreśli wyraźną sylwetkę arystokraty-demagoga Rocherfot'a, by nareszcie zająć się talentem polemicznym Clémenceau i Leona Bloy, polemisty mistyczno-religijnego. Bardzo ciekawy jest rozdział następny p. t. Polemika i polemiści. Dowiadujemy się, w jaki sposób Daudet stał się polemistą (woli on ten wyraz od pamflecisty). Kreśląc krótką historję literatury polemicznej francuskiej, korzysta z okazji, by wypowiedzieć swoje poglądy na cele i zadania pisarza-polemisty. Oto kilka ciekawych wyjątków: — Od chwili wynalazku druku nikt nie jest w stanie stłumić wolnej myśli. Wszelkiego rodzaju rządy starały się o to, ale żadnemu się to nie udało. Właściwością myśli ludzkiej jest, że nie da się skrępować. — Polemika jest alkoholem prozy. — Niema nic fałszywszego nad twierdzenie, że w polemice nie powinno się poruszać spraw osobistych.— Można uderzać silnie i potęgować ciosy, ale należy je wymierzać sprawiedliwie. — Walczyć trzeba z wiarą w słuszność sprawy, jak również i przyznać się do popełnionego błędu. Przez to umacnia się autorytet polemisty. — Polemista wyrzec się musi wszelkich nadziei na zaszczyty godności, stosunki towarzyskie. Nie powinien znać litości ale mieć też równocześnie wysokie poczucie sprawiedliwości. — Krótko, wstęp do „*Flammes*“ to jakby przepis, jakim być powinien dobry i skuteczny polemista. Trud przeczytania książki opłaci się sowicie.

*

Po serji najrozmaitszych rosyjskich typów, któremi są przepełnione powieści francuskie, rozpoczyna się obecnie serja amerykańska. Coraz więcej tutejszych pisarzy udaje się na nowy kontynent, chcąc bliżej poznać życie i psychologję tych młodych pokoleń, idących na podbój kuli ziemskiej. Do rzędu autorów, którzy już kilkakrotnie przepłynęli Atlantyk należy Paweł Morand. Jego ostatnia książka „*Champions du Monde*“ (Grasset édit.) jest prawdziwą galerją międzynarodowych portretów. Z najrozmaitszych stron Ameryki ściągnęło na Uniwersytet Columbia szereg studentów, pomiędzy nimi znajduje się Francuz, który te zdarzenia opowiada, Brodsky, żyd oczywiście, Webb, syn senatora, Van Norden artysta i Rahm atleta. Przychodzi okres wojny. Francuz dopiero w 1919 r. powraca ponownie do Ameryki i znajduje Webba już w roli dyplomaty i ożenionego z kobietą o równie jak on purytańskich uczuciach; Ram zbiera naturalnie laury jako bokser i żyje z niejaką Rhoda; Van Norden jest kapitanem awjacji, a żyd Brodsky, ożeniony z Nadine, stara się robić oczywiście jak najlepsze interesy, o ile nie idzie do więzienia.

W trzeciej części swej powieści, Paweł Morand przenosi niektórych z tych amerykańskich szampionów do Paryża. Tam to Nadine po rozwodzie z Brodskym udaje wielką panią; kocha się zaś w niej Webb, który także przybył do Paryża jako delegat na konferencję międzynarodową, ale odkrywa, że niebezpieczna zmysłowo Nadine jest jeszcze bardziej niebezpiecznym szpiegiem bolszewickim. Webb zresztą jest niezmiernie ciekawie nakreślonym typem amerykańskiego idealisty o nieprzejednanych i surowych uczuciach. W powieści tej spotkamy niemniej interesujące i nadzwyczajnie żywe charaktery kobiet, dominujące otaczających ich mężczyzn i narzucające im swą wolę. Styl Moranda jak zawsze barwny, pełen nieoczekiwanych asocjacyj myśli; atmosfera właściwa przyczynia się również niepomału do uwydatniania tego ciekawego ścierania się ras młodego i starego świata.

SZTUKI PLASTYCZNE

TANDETA

NAJWIĘKSZYM grzechem przeciw pracy jest tandeta. Z pewnością za ten przed innemi grzech los poniewiera golusem żydowskim, tym urodzonym tandeciarzem świata. Z powodu żydowskiego pochodzenia swego, socjalizm i jako idea jest tandetą i jako pracownik — w osobach socjalistów — bezczelnym tandeciarzem, czego ostatnie dziesięciolecie jego bajecznej karjery w różnych krajach jaskrawemi faktami dowiodło. Dlatego nie mam wątpliwości, że od dziesięciu lat trwająca tandeta w gospodarce magistratu Warszawy stąd przedewszystkiem pochodzi, że poważną część radnych stanowią żydzi i socjaliści, a przy tej sześcio - i pięciorogiej gwieździe trudno coś twórczego przeprowadzić. Chyba urządzić efekty dla zabawy tłumów, ale i ta sprawa pozostaje w zaniedbaniu, bo pominąwszy *panem*, którego brak, gdzie w Warszawie dla ludu doszukać się można *circenses?*.. Na Bielanach? Proszę sprobować tam pojechać i wrócić!

Nie radzę czytelnikowi probować tak ryzykownej wycieczki, a w zamian proszę go o bezpieczniejszą wycieczkę w bok od poruszonej tu sprawy głównej. Zapewne niejednemu z nas z powodu powszechnej katastrofy mieszkaniowej przyszło do głowy pytanie, dlaczego w barakach, pod miastami i w norach ziemnych mieszka obecnie tysiące Polaków, lecz niema tam ani jednego żyda? Co to za dziwne zjawisko, że żydzi w Polsce, a w szczególności — w Warszawie nie cierpią na brak mieszkań? Dwie są potemu przyczyny. Popierwsze — żydzi są daleko bogatsi od polskiej ludności miejskiej i w ich władaniu pozostaje większość kamienic. A powtóre — im żydom ciaśniej, tem im lepiej. Żydzi lepią się nawzajem ze sobą, a gdy ich dwudziestu w jednej izbie mieszka, czują przedsmak raju. Gdzie Polak się dusi, tam żyd zaczyna dopiero z rozkoszą oddychać. Jest-to cecha rasowa, zwana plazmatyzmem, cecha wyłącznie żydowska. Żyd samotny — to *contradictio in adiecto. Ein Jud ist kein Jud, viel Jud — ist Jud!* — jak mówi żydowskie przysłowie. Jak plenili się gromadnie, jeden na drugim, ci trogladoci w jaskiniach Arabji lat temu siedem tysięcy, tak plenią się dotychczas w jaskiniach Genszegassu — „od piwnic aż do poddaszy". Jaskiniowy tryb życia tkwi we krwi i tradycji „ludu osobliwego". Dlatego to brak mieszkań mógłby u żydów powstać dopiero wtedy, gdyby już do żadnej ich izby nie można było wepchnąć żyda tak chudego, jak Aszkenazy, — nawet przy pomocy tłoka elektrycznego.

Wracając z wycieczki tej, nie jak z Bielan z połamanemi żebrami, ale przeciwnie — w dość dobrym, jak na te czasy, humorze, wracając do magistratu, omińmy go już zdaleka. I tak już, zresztą, nadużywam cierpliwości niniejszego działu, sztukom plastycznym przynależnego. Trzeba zająć się czemś, co ma niejaki z niemi związek logiczny, a nie tłuc się tak niezmiernie daleko — po żydach i magistratach. Skoro zatem o Bielany tak nieszkodliwie dla zdrowia swego zawadziliśmy, spójrzmy z jakiego punktu wysokiego na całe powiśle warszawskie. Oto hojnie przez przyrodę Warszawie udzielony dar położenia nad Wisłą! Przynajmniej pięć kilometrów płaskowzgórza, zboczami ku brzegom pięknej rzeki spadającego. Zbocza wiją się linją falistą — to bliżej, to dalej od brzegów, tu wyższe, tam nieco niższe. I sama rzeka wije się, jak pas, królewskim gestem na ziemię rzucony. Jeszcze stolica nie ogarnęła sobą całego zwoja wężowego rzeki, ale go wkrótce ogarnie, jak ogarnął Paryż skręty swojej Sekwany. Ale Wisła w Warszawie o wiele większa od swej paryskiej siostrzycy.. Co z tego daru Bożego można sztuką plastyki i planistyki uczynić, o tem mogliby śnić najwięksi twórcy parków i rezydencyj starożytności Wschodu południowego. A co myśmy uczynili?

Ten wielki śmietnik fabryk, magazynów, kamienic, ruder i ulic brudnych — to powiśle Warszawy, to jej bulwary nadbrzeżne, to jej ogrody wiszące, to płuca miasta z Wisłą, jako główną tętnicą, to *corso* stolicy, to radość jej oczu, to zdrowie jej dzieci, to duma całego kraju, że takie ma leże w grodzie głównym wspaniałe i dla wszystkich dostępne. To już nawet nie tandeta. To wogóle do niczego uroszczeń mieć nie może, nie ruina i nie rudera, ale śmietnik cuchnący! Zapewne, że winę ponosi tu przeszłość, niewola polityczna i tak dalej. Nie będziemy się z przeszłością procesowali. Nie tu, nie w przeszłości leży ów punkt wysoki, z którego w tej chwili patrzymy na całe powiśle warszawskie. Patrzymy na nie z punktu widzenia przyszłości, a więc z tego punktu, który obowiązuje twórców planu tak zwanej Wielkiej Warszawy. Jeżeli tam, na papierze tego planu linjami i barwami wyznaczono to, co istotnie w ciągu lat stu należy i co można uczynić ze stołecznego powiśla, to wszystko w porządku. Możemy wtedy spokojnie patrzeć na całą tę nędzę „przeszłościową", ciesząc się, że z roku na rok będzie z niej wykwitał czar artyzmu ludzkiego, godny ram, które tu dała przyroda. A jeśli w planie jest inaczej...

Niestety, nie mamy potrzeby nawet planu rozwijać. Wystarczy fakt, że powiśle w granicach obecnej Warszawy najspokojniej zabudowuje się kamienicami i różnemi gmachami, co świadczy jasno, że w planie skazane jest na tę samą, co i śródmieście, plagę kamienno-asfaltową mieszkań i biur — bez śladu idei o tem, co tu być powinno. A powinno tu być na całej długości powiśla, a wszerz do najwyższych krawędzi zbocza jedno olbrzymie wielokrotne *corso* parkowe, usiane alejami wzdłuż i wskos, parkami, boiskami, a z gmachów — tylko niezodzownemi tu i ówdzie budynkami sportów i zabaw, teatrów i kawiarni. Z tych, które są na tym terenie, należy pozostawić tylko kościoły, gmachy monumentalne i zabytkowe. Pozatem wszystko inne powinno być skazane na stopniowe i kolejne burzenie. Gdyby plan Wielkiej Warszawy przewidywał takie rozwiązanie powiśla, już dziś powinien istnieć zakaz wznoszenia tu kamienic i budowli, z których każda o rok odsuwa w dal przyszłości wykonanie planu. Zakazu takiego niema, bo niema idei w planie, jedynej możliwej dla danego położenia idei, którą tu w suchym zarysie podałem.

Jak we wszystkich sprawach drobniejszych i drobnych, dotyczących dnia dzisiejszego, o których na tem miejscu nieraz już mówiłem, tak i w tej wielkiej sprawie planu na przyszłość w zakresie wyzyskania naturalnych piękności powiśla, magistrat wykazuje jeden przedewszystkiem zmysł i jedną wolę — tandety. Nad brzegiem tak dobrej rzeki, w stolicy, której rozrost olbrzymi i szybki żadnej wątpliwości nie ulega, magistrat wytknął sobie ubożuchne „Wybrzeże Kościuszkowskie", rozmiarami godne Matołkowa, ale nazwał je dumnie, wysoko. Kiedy tu jeszcze nic ani wytykać, ani nazywać nie można, tylko trzeba prowizorycznie brukować, a wszystko, gdzie tylko się da zadrzewiać, zadrzewiać i zadrzewiać. Z kamienic zaś i fabryk wszystko, co tylko się da, burzyć, burzyć i burzyć, a miejsca uwolnione znowu natychmiast zadrzewiać — i tak od Bielan do Wilanowa wzdłuż Wisły, a od brzegów, aż do krawędzi zboczy — wszerz i wzwyż. Poczem niedaleka już przyszłość mogłaby większe odsłonione połacie ziemi zadrzewionej urządzać ostatecznie według planu, który od pierwszej chwili powinien i zadrzewianiem i wszelkimi innemi tu robotami kierować.

Wyobraźmy sobie to wszystko i pomyślmy, jak strojnym cudem stałoby się to miasto ze swoim Zamkiem, Katedrą, Starem Miastem, kościołami i pałacami, wznoszące się na płaskowzgórzu ponad kobiercami drzew, łąk, muraw, boisk, alej i wiaduktów, i ponad wstęgą Wisły, przepasanej wszerz wieloma mostami, głębokiej (po regulacji) i ożywionej ruchem parostatków, łodzi i bark! Czy to cud z bajki niedosiężnej? Ależ to wszystko jest w ręku naszych możliwości, przez wieki cywilizacji nam dane i tylko jednym warunkiem opatrzone — warunkiem pracy. Pracy, to znaczy — przewidywania, umiłowania, twórczości, woli, chęci doskonalenia

życia, kroczenia naprzód, wdal, wgórę! Tymczasem naokół w rzeczach małych i wielkich zarówno szerzy się i dusze pustoszy tandeta, żydowska tandeta — z Gogiem, Magogiem i Demagogiem, z Bezpracym, Pankracym i Demokracym, z Pustakiem, Wesołkiem i Matołkiem, z całą pospolitością obecnej rzeczy pospolitej, niepomnej, że była kiedyś i może być — Najjaśniejszą.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

TEATR

MIŁOŚĆ CZY PIĘŚĆ?

PANOWIE K. Markiewicz i M. Fijałkowski napisali do spółki krotochwilę w 3 aktach „Miłość czy p. ‚ść" i wystawili w teatrze Małym. Rzecz dzieje się na naszych ziemiach litewskich, dajmy na to w Święciańskiem. Do dworu osieroconego po śmierci właściciela — zjeżdża jednocześnie dwoje spadkobierców z dalszych linij pokrewieństwa, a każde z nich działa na podstawie testamentu, który w dodatku nosi tę samą datę. Oboje młodzi i wolni a z pociągiem ku sobie.

Zawiłość komedjowa pierwszej klasy. Komplikowana przytem przez dwu adwokatów. I ci wyszli najgorzej — padli ofiarą komedji. Bo cóż prawo i kruczki prawne wobec prawa miłości? Młodzi pogodzili się, a zawiłości prawno gospodarcze pomógł rozwikłać kapitał obcy w osobie Anglika przemysłowca, który właśnie czyhał na las w tym majątku i kupił go, pewno potem zobowiązując się zasadzić trzy drzewa za każde ścięte.

Bogatym wujaszkiem z dawnych komedyj okazał się w zmodernizowanych stosunkach obcy kapitał (ostrożnie użyty). Tło społeczno - gospodarcze zdarzeń opłakane: resztki dawnej kultury i zamożności w postaci antyków w umeblowaniu, ale dosłowny brak grosza i zupełna niepoczytalność gospodarcza ludzi. Wszyscy u góry społecznej wykształceni, oddają się naukom, literaturze, sportom, ale jak dzieci nieporadni. Według autorów inteligent polski, obejmujący w posiadanie ziemię, na pytanie, ile może być warta krowa, za podstawę obliczenia bierze cenę szklanki mleka w kawiarni albo befsztyka w restauracji i wypada mu cena krowy 30.000 zł. Nawet komornikiem jest znakomity historyk i literat, w dodatku hrabia; został poborcą, bo bez tej posady umarłby z głodu. Adwokaci w tym dziwnym kraju pomagają sobie w zawodzie oszustwem i łupiestwem, jak wśród barbarzyńców.

Materjał przebogaty. Ale czy nie za bogaty na „krotochwilę"?

W odpowiedzi na to pytanie można napisać całą komedję. Stan duchowy naszych ognisk, przedewszystkiem Warszawy, jest taki, że pisanie komedji (cóż dopiero dramatu!) jest rzeczą ryzykowną. Są to czasy dawnych interludjów cyrkowych, wyodrębnionych w osobne widowiska w t. zw. kabarety czy „rewiutty", które już obecnie noszą nazwę teatrów. Dawna sztuka dramatyczna, rywalizując z niemi, zmuszona się czuje przerabiać komedje na krotochwile. Ulica musi się bawić i to w sposób niewyszukany.

Wyobrażam sobie historję spółki: Markiewicz - Fijałkowski. Pierwszy z nich jest modernistą teatralnym, mającym humor groteskowy, potrzebny do komiki sytuacyjnej i wszystko dla tej komiki poświęcający; Fijałkowski zaś, ile go znamy z dzieł poprzednich, jest spadkobiercą Fredry, mającym raczej pociąg do charakterologji i rozwiązywania zagadnień społecznych według potrzeb serca. Są to dwa typy różne i nie kongenjalne. Nie mogą stworzyć spółki Flersa i Caillaveta, bo nie stoją na wspólnym poziomie kultury. Jeden z nich jest typem wiejskim, drugi miejskim; jednemu „wszystko jedno", co jest w rzeczywistości i co z nią ma być, drugi — ma serce społeczne, które „krwawi".

Więc na rzut oka widać, że jeden z tej spółki dał materjał na komedję, a drugi — p. Markiewicz — zrobił z tego krotochwilę. Oto przykład: żeby sztuka szła dobrze według dzisiejszego kursu, trzeba było choćby na jeden akt bohaterkę rozebrać (publiczność się przyzwyczaiła); mieliśmy więc w staroświecktm dworku litewskim dwoje nagusów w biały dzień swawolących, jak na plaży, choć to w życiu byłoby niemożliwe w tamtem środowisku. Z materjału narzucały się same do podkreślenia rzeczy charakterystyczne zupełnie inne, niż te, które wysuwa jako „szlagiery" drugi wspólnik.

Mojem zdaniem, spółka zawiązana lekkomyślnie, nie mogła dać dzieła dobrego artystycznie. Spólnicy bowiem nie doszli z sobą do porozumienia. W takich warunkach dzieło musiało wypaść zyzowate.

Grano, jak zawsze w tym teatrze, bardzo starannie, na czoło wysuwając p. Modzelewską. A była to rola też do spółki skomponowana w rysunku: do połowy ze sztuki Shaw'a (panna Szczepanowska ze „Związku niedobranego"), do połowy panienka fredrowska.

Z. W.

SZWEJK NA SCENIE

TEATR Polski wystawił przerobioną na scenę (przez kabarecistę Hemara) powieść czeską Haszeka o przygodach ordynansa Szwejka. Postać bohatera jest arcydziełem literackiem, a że przygody są śmieszne, choć trywjalne najczęściej, publiczność doskonale się bawi. A to było celem teatru w sezonie ogórkowym. Jak powiada andrus warszawski: „za jedne 20 groszy można się uśmiać, cały dom zabawić"... I to 16 aktów!

Pomysłowość reżyserji i dekoratora bardzo duża i dowcipna. Całej wagi przedstawieniu, jako zjawisku artystycznemu, nadaje to, że rolę Szwejka gra znakomity Jaracz. Czesi powinni przysłać delegację, którąby tę kreację zobaczyła.

Z. W.

ZMARLI

Ś. P. WŁADYSŁAW LEOPOLD JAWORSKI

DNIA 13 b. m. zmarł w Milanówku profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, ś. p. Władysław Leopold Jaworski.

Znakomity prawnik, o niezwykłej wszechstronności zainteresowań, zadziwiającej pracowitości i nieznużonej energji umysłowej, pozostawił po sobie szereg dzieł, rozpraw, komentarzy, projektów ustaw z zakresu prawa cywilnego konstytucyjnego, administracyjnego, agrarnego i t. d. W ostatnich czasach wiele zajmował się również filozofją prawa, a także ogólnemi rozważaniami z zakresu filozofji, religji, estetyki, których wyniki ujmował w staranuych pod względem formy, a zawsze pełnych treści artykułach i aforyzmach.

Ś. p. Władysław Leopold Jaworski brał nader czynny udział w życiu politycznem. Jeszcze przed wojną światową wysunął się jako jeden z przywódców galicyjskiego stronnictwa konserwatystów i razem z prof. Michałem Bobrzyńskim należał do tych polityków, którzy stronnictwo to kierowali ku wiązaniu się z ugrupowaniami radykalnemi dla wspólnej walki przeciwko polskiemu „nacjonalizmowi".

Jako polityk, miał ś. p. Władysław Leopold Jaworski tę właściwość, iż przewidywał fałszywie. W okresie wojny światowej dążył usilnie do zespolenia losów Polski z losami mocarstw centralnych, stając na czele t. zw. Naczelnego Komitetu Narodowego w Krakowie, organizującego współdziałanie polityczne i militarne (legjony) z Austro-Węgrami i Niemcami. Po zamachu majowym w r. 1926 uległ złudzeniu, iż obóz przewrotu zdolny będzie do przeprowadzenia naprawy ustroju Państwa, wystąpił nawet z własnym projektem nowej Konstytucji (r. 1928).

Żył lat 65.

OFENSYWA

PO BANDROWSKIM BANDURSKI

POLITYKA jest grą fałszywą. Znaczy się: grą fałszowanemi kartami. *Autos efa.* W przeciwstawieniu do angielskiej maksymy: *fair play*, doktryna, zasada *unfair play*. I taka też jest w praktyce. Od samego początku: kłamstwa, oszustwa, fałsze, całkiem świadomie, programowo, z najbezczelniejszym cynizmem komponowane, od napadu i ostrzeliwania cichego „dworku" w nocy z 11 na 12 maja, aż po dzień dzisiejszy.

Teraz wzięli się na całej linji do fałszywej gry, do zaszachowania i zaszachrowania wysokiego kleru i dostojników kościelnych.

Bezbożniki, agnostyki, materjaliści, antropozofowie, hedoniści, wierzący tylko w pięść, w złoto, w karjerę, we władzę, poganie moralni w każdym calu, w każdej fibrze, gardzący wszystkiem, co transcendentalne, co metafizyczne, co z Ducha, całe lata wyszydzający godło „Bóg i Ojczyzna", całe lata nienawidzący Kościoła Katolickiego i jego instytucyj, teraz ni stąd ni zowąd zaczynają się mizdrzyć i podlizywać klerowi, ostentacyjnie i kabotyńsko biorą udział w procesjach, fotografują się i filmują tuż przy biskupach *in pontificalibus*, demonstracyjnie biorą do gabinetu księdza i chowają za parawany na gwałt swoich zbyt pronpremsowanych wolnomyślicieli i krzykaczów antyklerykalnych. Te „wszy uskrzydlone" gotowe są do wszystkiego. Żadna metamorfoza nie sprawia im najmniejszego kłopotu ni skrupułów. Już... już cztery lata temu przechylali się ku swoistemu, amarantowemu w kolorze komunizmowi... już się zapędzali w etatyzm, socjalizację, syndykalizację, bezbożnictwo, już apostołowali spędzanie płodu, już protegowali Hodurowców, Marjawitów, już coś wybredzali o Kościele Narodowym i zerwaniu konkordatu z Rzymem, już całowali po rękach rabinów (*sic*) a masowo żenili się z żydóweczkami (oczywiście, gdzie zwęszyli forsę większą), już zapowiadali nowy *kulturkampf* (Moraczewski w „Przedświcie")... kiedy od pół roku nagle zwrot, na całej linji. Maski bezwyznaniowe precz. Z urzędowego organu pousuwano podpisujących się semitów, a poukrywano ich w agencjach (w „Pacie" i w „Iskrze"). Już niema na froncie „liberałów" Wassercukra, Sokołowa, Breitera, Oryngа, Brodzkiego, Rozenberga i trzydziestu innych a „polemiki" z obozem narodowym i z Polakami w Polsce prowadzą zwykle parobasy intelektualne i byłe sierżanty od saperów. Papa Ehrenberg zakazał biednemu Boyowi wygłupiać się w jego „wolterowskiej" akcji z dziewicami konsystorskiemi a „Kanał Poranny", naczelny organ półświatka warszawskiego, kokot i mechesów jest tak przepełniony obrazkami świętemi i ilustracjami z ceremonij religijnych, że ze względu na Ehrenberga nazywają go już w Warszawie „Kurjerem Częstochowskim". Generałowie i pułkownicy o podwójnych nazwiskach dostali rozkaz przehallerzyć samego Hallera i o ile się da, wpisywać się do Sodalicji Marjańskiej. Damy z „Rodziny Wojskowej" mają instrukcję nawiązania stosunków z Bractwem Świętej Zyty i Kanoniczkami. Atamanom ze „Strzelca" nakazano asystować przy nabożeństwach majowych, a niektóre wojewody i komisary nawet spowiadali się, byle *coram populo* przed Wielkanocą, aby lud widział naocznie, jaki to ten rząd pobożny i arcychrześcijański. Na Poznańskim Kongresie Eucharystycznym mieli „sanatorzy" z I-szej Brykady nakazane pchać się ciągle na front, żegnać się co chwilę Krzyżem Świętym, całować prałatów w ramiona i zdejmować kapelusze przed kościołem a to wszystko tak, żeby to te „cholery" poznaniaki widziały. Słowem zwrot na całej linji.

Byłoby to „nawrócenie Judasza" motywem bardzo wzruszającym i dodatnim, gdyby nie było sobie poprostu wyuzdanie cyniczną komedją i spekulacją, tartufferją i meskinerją, oszustwem i fałszem. Maffja okupanów kolejno nabiera, naciąga i oszukuje wszystkich. Naciągnęła i oszukała ziemian i arystokrację. Naciągnęła i oszukała Lewiatana. Złupiła i oszukała Polonję amerykańską Naciągnęła i oszukała *Lodzermensch*'ów i górnośląskich *Kohlenbaron*'ów. Rastakueryzm tym „Bohaterom" (z komedji Shawa i operetki O. Straussa) leży we krwi i jest ich cechą prymordjalną, dominantą.

Teraz wzięli się do kleru. Już są bardziej katoliccy od katolików i bardziej papiescy od *Congregatio de propaganda fide.* Ponieważ od wielkiego i ciężkiego przemysłu żadnej forsy „na wybory" spodziewać się nie mogą, przeto imaginują sobie, że teraz da się spryciarzom złupić wysoki kler i duchowieństwo. Rozpoczęło się tedy polowanie z nagonką na księży. Tylko patrzeć jak cały komplet i komplot odbędzie pielgrzymkę na Jasną Górę. Tylko patrzeć, jak wymyślą sobie jakiegoś „katolika" o lżejszym światopoglądzie i zamówią u niego monografję pana P. jako najwzorowszego syna Kościoła, „przyjaciela Ojca Świętego" itp., poczem któryś z historyków dworskich za dwa tysiące złociszów do łapy, wynajdzie jakiegoś przodka z 18-go wieku, który o mało co nie został... kanonizowany.

Byłoby rzeczą bardzo groźną i w następstwach swych wprost katastrofalną, gdyby wyższe duchowieństwo na moment choćby uwierzyło w odrodzenie religijne tej Dostojewszczyzny i choćby na moment związało się z gnijącym i gangrenującym atmosferę stugłowym smokiem tandetnego nefasyzmu polskiego.

Na scenie literackiej także już można obserwować ten nowy *bluff*, nową fazę, nową partję i grę fałszywemi kartami. Na miejsce Bandrowskiego wysuwają teraz reżyserzy wielkiej szmiry historycznej dla odmiany Bandurskiego. Pierwsze dwa lata paradowali z tym Kadenem-Bandrowskim. Trzeciorzędnego ale jaskrawego i napastniczego w ideach beletrystę, sobowtórnego Ehrenbergowi, wrzaskliwa reklama Piłsudczyzny starała się wywindować bezczelnie na jakiegoś następcę Żeremiasza czy Reymonta! Ale Kaden w ostatnich powieściach zbyt poszedł na lewo w zachłannem kokietowaniu ideowego komunizmu (Duś). Tym razem kombinator „przeszpekulował" i nie wyczuł, nie wywąchał *kuda wietier dujet.* Dzisiejszej Piłsudczyźnie taki „*poeta laureatus*" jest już z kretesem niewygodny. To też wyraźnie stawiają go za parawan i każą cicho siedzieć i nie wyłazić w światło kinkietów. Bandrowski na strych czy za kulisy! a Bandurski na scenę! woła inspicjent Republiki Babińskiej. I rzeczywiście, co wziąć teraz „sanacyjną" bibułę, wszędzie coś o dawnym wiedeńskim a teraz „wileńskim" biskupie. Zrobili sobie z duchownej osoby jakiegoś poprostu komiwojażera „dychtatury". Wysyłają go to tu, to tam, na otwarcie tego, na zamknięcie tamtego, fotografują, filmują, każą mówić, „grzmieć", rozkładać ręce... Ci, co widzieli naocznie te spektakle z biskupem, nie mają dość słów oburzenia i odrazy, że wysoki dostojnik kościelny daje się wciągać do takiej frymarki... Ostatnio znowu w Poznaniu podczas Kongresu Eucharystycznego zaaranżowano wysoce niesmaczną, wobec poważnych dostojników Kościoła wyzywającą komedję. Wedle ukazu warszawskiego ks. Bandurski mieszkał na Zamku i tam mu urządzono jakąś trzydziestą z rzędu teatralną owację z „hołdem" w sali Tronowej, bankietem, toastami. Owacjonowany biskup, jak zawsze „do łez wzruszony", powtarzał po raz setny: nie mnie! nie mnie! tylko we mnie składacie hołd tej Rzeczypospolitej.. ja jestem pionkiem... niech żyje Poznań!

Szkoda, że tego pięknego toastu: „niech żyje Poznań" ks. Bandurski nie wygłosił lat temu 15, kiedy to we Widniu tak bronił Niemców i Austrjaków...

Jest w tem coś bezdennie haniebnego, wstrętnego, do ostatnich głębi oburzającego. Paderewski, żyjący jako banita poza Polską, zapomniany, poniechany, przemilczany, wyobcowany, ten, którego sam przyjazd zelektryzował powstańczo Wielkopolskę! A w Zamku ex-Wilhelmowskim owacje dla tego człowieka, który podczas wojny przez cztery lata Wilhelmowskie zdobycie Polski moralnie protegował, dzisiaj zaś jest objektem nieustających hołdów, demonstracyj, owacyj i kabotyńskich spektakli.

Nie jest możliwe, żeby takie zakłamanie moralne naszej „elity" rządzącej w przyszłości nie przyniosło nam ciężkiego pokarania.

Czytajcie powieść G. Frensena „Sługa Boży" (Staff tłumaczył). Jest tam pastor Barfold, który w rozmyślaniach swoich klęskę, pogrom i hańbę Niemiec z r. 1918 tłumaczy jasno i wyraźnie tem właśnie zakłamaniem, załganiem się, tą gangreną moralną, idącą od kultu Wilhelma, despoty militarystycznego (siła przed prawem), który, dodajmy tu jeszcze, jako człowiek prywatny był jednak bądź co bądź uczciwym człowiekiem i gentlemanem.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Kurjer Poznański" ogłasza rozkaz wojewódzkiej komendy Policji Państwowej, zarządzający śledzenie Obozu Wielkiej Polski, w szczególności „dyslokacji" jego sił, „uzbrojenia" i t. d.

Na „sanacji" czapka gore...

*

Prasa „sanacyjna" zarzuca „endecji", jakoby stronnictwo to dziś jeszcze „tęskniło do cara..." Pp. „sanatorzy" są w błędzie: Car — to dla dzisiejszej Polski symbol bezprawia, bezkarnych zbrodni, prześladowania myśli patrjotycznej, łamania konstytucyjnych uprawnień narodu... Komuż mogłyby podobać się takie stosunki?

TREŚĆ: Za północną granicą *J.* — Zagadnienie tłumu *St. Pieńkowskiego.* — Społeczno-polityczne ideje Słowackiego w dobie mistycyzmu *J. G. Pawlikowskiego.* — Na widowni *Z. Wasilewskiego.* — Wychowanie narodowe *T. Józefowicza* — Nauka i literatura („Pod lipą czarnoleską“ *J. Birkenmajera* i t. d.). — Sztuki plastyczne *St. Pieńkowskiego.* — Teatr *Z. W.* — Zmarli. — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.